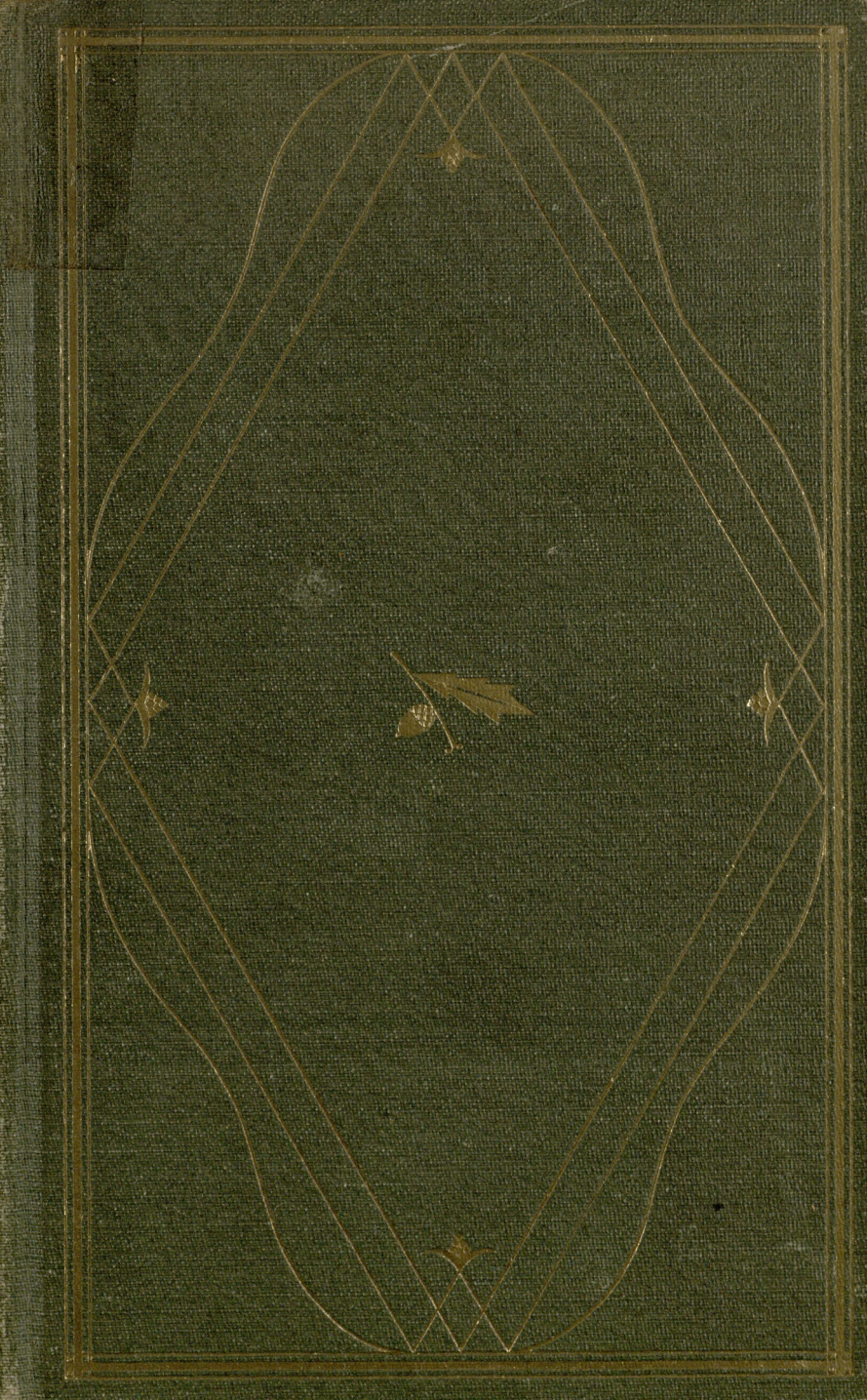




Miedobitowski

BIBLIOTEKA I MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:**10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA**

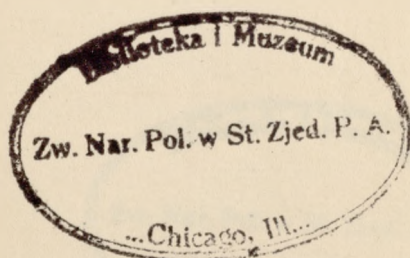
- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier.
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wyrywaj i nie niszczonek obrazków i kartek.

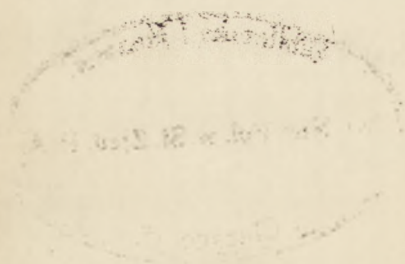
Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

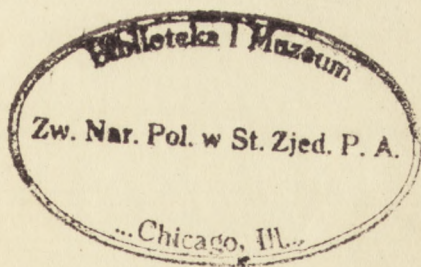
C 3377

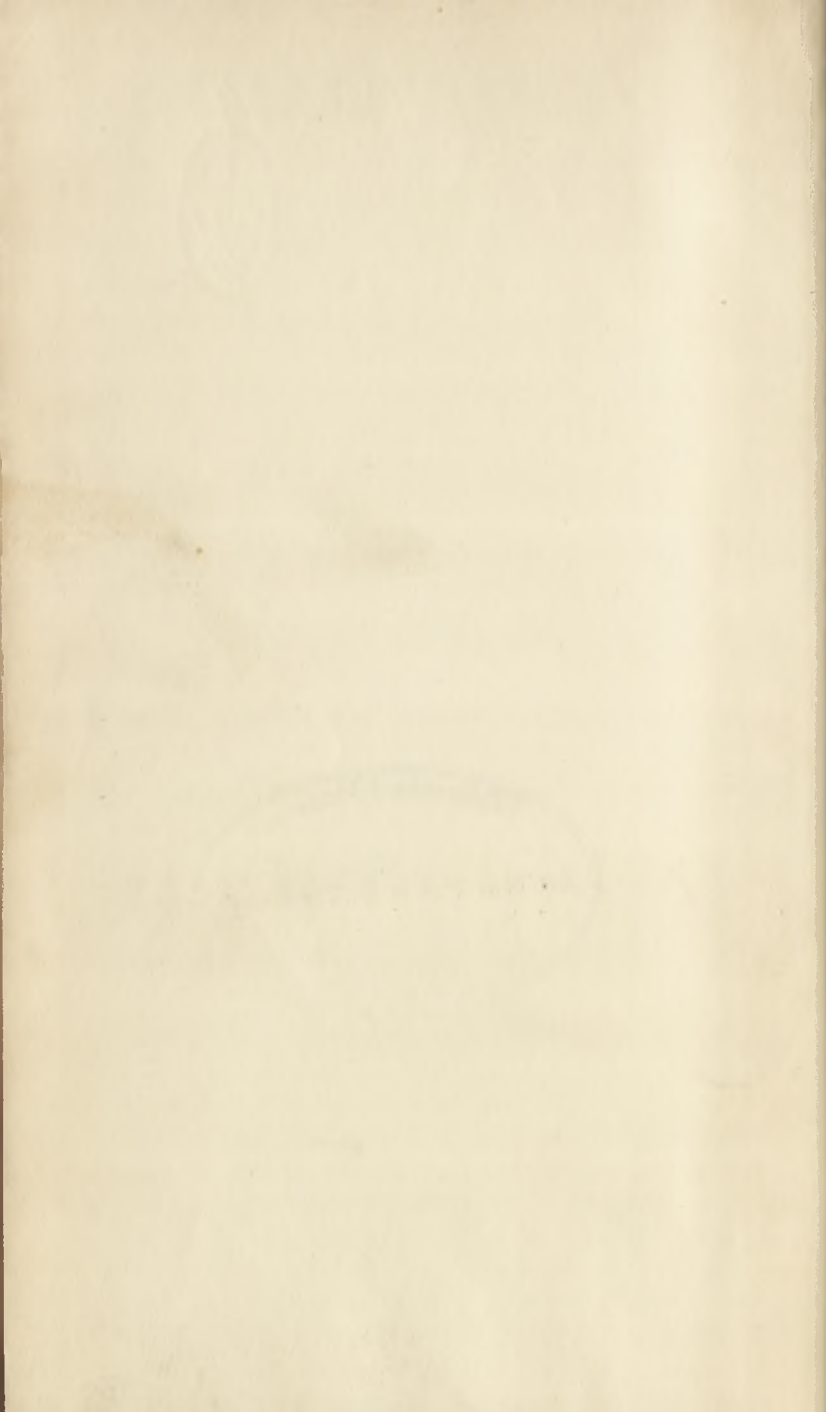
gh School Library





C 3377





MARJA RODZIEWICZÓWNA

NIEDOBITOWSKI
Z
GRANICZNEGO
BASTJONU

*

Schurz High School Library
3601 Milwaukee Avenue

1 9 2 6
LWÓW—POZNAŃ

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

217
Pol
R 619n
cop.1

OKŁADKĘ RYSOWAŁ CZERPER.
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.
DRUKARNIA CONCORDIA, SP. AKC. POZNAŃ.



H17S

**NIEDOBITOWSKI
Z GRANICZNEGO BASTJONU.**

— A potem co?

— Odbuduję Horodyszcze! Nie?

— Juści odbuduję. Mojej Medwidły nie odbuduję, bo zagranicą została.

— Głupstwo! Podzielimy się Horodyszczem!

— Jak sobie chcesz. Byle już nie wędrować.

— Słyszysz — gęsi ciągną! Wiosna.

— I już u siebie! odetchnął z głębi piersi.

Ruszyli dalej i Niedobitowski odnajdywał;

— Był krzyż przy zawrocie. Dalibóg stoi! Potem droga z topoli — droga jest — topoli niema — potem już opłotki i lamus przy bramie. Rozumie się, płotów niema, ale krzaki są — no i lamusa niema. A ot z domu coś sterczy — murywany był — ostał. Aha i psy są! No to i jakieś ludzie żyją. Nie będziem w wierzbie nocować! Dobra nasza, Jasiek!

— Da Bóg i ojciec żyje i pan Saturnin Kałaur myśli owies siać. Nu, sobaki — my swoje pany! Nie obrywać amerykańskiej garderoby, choć wam cudzo cuchnie!

Ale psy ostąpiły ich z jazgotliwym ujadaniem, więc Niedobitowski jął wołać znajome nazwy.

— Hałas, Lutnia, Kaktus, Chryja!

I oto jeden z psów ucichł, obwąchał go, skoczył na piersi skomląc, reszta ucichła.

— Dalibóg to Kaktus, kolega na kłapaki.

Poznał, psia dusza, po siedmiu latach. Poznał.
— Głos Niedobitowskiego się załamał — objął
psa za szyję — odchrząknął.

— No, prowadź, sobako. Ale śpią twardo.

Podeszli pod sam dom. Stał, ale wygląd zmienił. Ganek środkowy i drzwi wchodowe zamurowane były ceglami — większość okien podobnie. Na końcu parę okien miało okiennice z grubych bali, a w nich otwory.

— Strzelnice! — rzekł Olesza, uderzając w nie pięścią.

W domu panowało głuche milczenie i ciemność. Obeszli tedy do drzwi szczytowych, gdzie był niegdyś kryty ganek na ogród. Ganku nie było śladu, a drzwi zrobione były z grubych bali i miały ślady spalenizny.

— I tu strzelnica. Horodyszcze, jak się pa-
trzy — rzekł Olesza.

Niedobitowski począł pukać, stukać, wreszcie kijem tłuc z całej mocy. Kaktus też do drzwi skrobał. Wewnątrz rozległ się szmer, szepty, i powolny głos ozwał się po poleszucku:

— Ne czepy dworej — budu strelaty! (nie rusz drzwi, będę strzelać).

— Otwierać — to ja, Sewer Niedobitowski!

— Poszli won, brodiahy. Ja was nauczu panna predstavlaty!

— Pał, Kornilo! — zaszeptał głos kobiety.

— Naj imość poźde — może tak pójdut'. Szko-
da naboja! (niech imość czeka). Sobaki ne breszut'.

— Nie breszą, bo mądrzejsze od was. Otwie-
rajcie, tchórze. Powiedzcie panu, że Sewer wraca
z kolegą Janem Oleszą. A to durnie!

— Aha, ot i wasza prawda, bandyty! U nas
pana niema, a panicz Sewer wrócić nie może.

— Jakto nie może, kiedy stoję przed drzwiami
— i jakoś mi się zdaje, że to pani Honorata Kałau-
rowa tej fortecy broni. Kaktus mnie poznał —
a ludzie zapomnieli.

— Czekaj, Kornilo. Wyjrzę, ilu ich.

— Poświecę! zaśmiał się Olesza, krzesząc
płomyk zapalniczki.

W szparze ukazało się oko, i wnet wybuch
głosu:

— Jezus, Marja! Panicz. Kornilo odsuwaj
belkę!

— A szczo! Kazau ne strelaty na marne! —
odparł flegmatyczny głos — i wnet ciężki trud
z odsuwaniem belki obronnej.

Gdy się drzwi rozwarły, w sieni świeciła już
lampka, i jakaś postać kobieca wielka i koścista
porwała w objęcia Sewera.

— Paniczu! Paniczu! Paniczu! — łkała.

— Ojciec? — spytał.

— Świeć Panie jego duszy! Umarł zeszłego roku, przed samem najściem bolszewickiem.

— A brat?

— Z tyfusu umarł — zaraz jak Niemcy przyszli. Saturnina bolszewicy zabili, jak dworu nie dawał palić! Zabili — i dwór spalili! ■

— To któż tu ostał?

— Ano, ja i Kornilo — i mała moja, Sabina, i dwie baby i głuchy Juchim. Siedzim i bronim. Mało której nocy nie napadają — granica tuż — za Styblem — ot! Ach, paniczu!

Objęła go znowu za ramiona, patrzyła przez łzy, które dziwnie wyglądały na jej ostrej, surowej twarzy.

Wędrowcy poczuli zmęczenie — kres swej wytrzymałości.

— Dajcie spocząć! — szepnął Sewer.

Kałurowa oprzytomniała, otworzyła drzwi na prawo — zaczęła komenderować:

— Sabina! Świeć. Kornilo — siana na posłanie. Paniczom zaraz podam jeść i pić. U nas wszystko jest. Coby panicze chcieli?

— Herbaty! — rzekł Olesza, siadając na ławie w izbie wielkiej, cieplej, przerobionej na kuchnię.

— Herbaty! — powtórzyła Kałurowa ze zgrozą.

— Zkądże u nas ma być herbata.

— Przecie pani powiedziała, że wszystko jest.

— Wszystko, co w Horodyszczu rośnie. Jest chleb, kartofle, kasza, okrasa, mleko, miód — wszystko!

— To i bydło jest? Zostały jakie budynki? — spytał Sewer, zdejmując plecak, i przemokły płaszczyk.

— Budynków nic nie zostało, a krowy są dwie. Chowamy je w domu — w salonie. Stary pan się tak rozporządził. A więc panicz, i kobyłkę po Karabeli uchowaliśmy!

Sewer patrzył na nią, a wtem poczuł, że ktoś rozplątuje delikatnie sznurki jego żołnierskich trzewików, i odwrócił się zdumiony. Na ziemi przy nim klęczała dziewczynka, Sabina Kałaurów, którą pamiętał pięcioletnią, gdy odchodził.

— Rozzuje panicza! — rzekła, podnosząc ku niemu szare oczy i twarz smagłą i brzydką podlotka.

— Dajże spokój! — bronił się.

— Niech rozzuje, niech wymyje. Zaznały też, zaznały, te biedne wędrowne nogi! — zawołała Kałaurowa. — Ale teraz już będzie dobrze. Jest mleko gorące i świeży chleb — i kielbasa, bośmy wieprzka zakłóli pod Wielkanoc. Niechże panicze zrzucą mokre szmaty — i cudzą odzież. Jest swoja — jest. Uchowało się! — dodała z nawyknięcia szeptem i z uśmiechem triumfu.

Tedy Sewer się poddał posłudze, a Olesza rozebrał się i przeciągnął w swej podartej koszuli.

— Już nas wszy żreć nie będą, — zaśmiał się, kręcąc papierosa.

Potem już mało co pamiętali z tego pierwszego wieczora. Obudzili się zaś po dwóch dobach, wypoczęci, głodni i aż zdumieni — że nic ich nie gna, nie dręczy.

Wtedy Sewer obejrzał swoje dziedziczne gniazdo. Dwór pozostał, krzepko przed wieki z kamienia i cegły postawiony, starą karpiówką kryty, zniekształcony zamurowaniem prawie wszystkich okien i drzwi

Jak do blokhauzu amerykańskiego trapera przez sień było jedyne wejście dla ludzi i dobytku, gdyż w najbardziej pustej stronie trzymano dwie ukochane krowy-żywicielki, kłacz i kilka owiec, i chowano zboże, chroniąc przed pożarem. Z folwarku zostały opalone, murowane słupy stodoły i stajni i drewniane obór. Zostało też parę starych wierzb, owocowy sad bez płotu i olbrzymi topół z bocianiem gniazdem. Folwark stał na wzgórzu, odległy od wsi i gościńców; na zachodzie miał las, na wschodzie bagniste Stybelko i granicę bolszewicką. Ostatni bastjon Polski. Gdy się rozejrzeli, zatrzymali się na wzgórk, gdzie przed wojną stał wiatrak.

Olesza rzekł:

— Od czego zaczynasz?

— Od siana, owsa. Bocian już wrócił.

— I my jak żurawie. Ja zacznę od łaźni, noży-czek i brzytwy — i jadłbym pięć razy na dzień.

— Ja też. Tylko mnie roznosi ochota do pracy, tej prawdziwej, naszej, przy ziemi, z ziemią, dla ziemi.

Podczas ich snu Kałaurowa urządziła im dawną sypialnię ojca. Znalazły się jakieś stare graty, dwa łóżka i stół. Mieli czystą bieliznę, ubranie, nawet gdy przyszli na obiad, ujrzeli ze zdumieniem dawną porcelanę przy drewnianych łyżkach. Nalewając im barszcz, szepnęła do Sewera:

— I srebro jest, paniczu, i miedź i kryształy i bronz. Wszystko się uchowało, chociaż kto wpadł, to rewidował, kopał, rył, najmniejszej szpary nie minął. Nic nie znaleźli, takeśmy ze starym panem ukryli.

— Ze wszystkich stworzeń najbardziej jest wytrzymałym człowiek, ale z ludzi najwytrzymałą jest baba! — rzekł Olesza.

— Wiadomo: chrzanu nie przetrzesh, baby nie przeprzesh, — potwierdziła z przekonaniem Kałaurowa.

Sewer powitał garstkę domowników — i chciał im dziękować, ale i głuchy Juchim i dwie baby

kuchenne i nawet Kornilo nie uważali wcale swego postępowania za coś osobliwego, i nawet byli jego słowami jakby zgorszeni.

— Narod oduraczył sia! — odparł Kornilo — (Naród zgłupiał). Rzucili wszystko swe dobro, i poszli. Kozaki popalili wsie, spalili i straż w lesie. Więc ja się do dworu przebrał, bo pan tak kazał. Germańca nie było co się bać. Srogie ale porządne ludzie byli. *Pytkami* siekli jak było zaco, ale porządek był. Potem to dopiero nastaly *hołodrańce*! Żeby *pałac* był drewniany, toby my nie dali rady — ani ja, ani nawet imość, choć sokół-baba! Kamienia nie ugryźli. A co teraz panicz myśli robić? Bo to już Zwiastowanie jutro — toby po górkach można owsa rzucić i grochu. Krowy nauczylim orać, a młoda Karabelka już w bronie chodzi.

— To mi ją okulbacz.

Gdy wsiadał na klacz, ukazała się Kałaurowa.

— Ma panicz broń?

— Mam.

— A dokąd panicz jedzie? Do lasu?

— Nie. Do starostwa.

— O Jezu, Marjo! Niechby o nas zapomnieli. Jak panicz się pokaże, to jakieś urzędniki zaraz pociągają!

— A może właśnie z czemś wrócę i coś dostanę.

— Panicz, panicz! Toć panicz nie chłop, żeby coś dostał od rządu. Niechby panicz się lepiej nie pokazywał.

— Nie bajcie, pani Honorato! Trzeba się zameldować, pozwolenie na broń dostać, o nasiona i narzędzia się postarać. No, bywajcie zdrowi. Wróćę pojutrze.

Ale nie wrócił pojutrze, ale za pięć dni, i nic nie mówił, zabierając się do obiadu.

Olesza, który go znał, zauważył zacięty błysk oka, i zacięcie szczęk — i o nic nie pytał.

Kałauirowa z córką obrabiała zagony na warzywa, więc dom był pusty.

Wyszli potem w pole, daleko, pod las i Sewer spytał:

— Byłeś na tokach?

— Co nocy. Zabiłem głuszca i trzy cietrzewie.

— Musisz się także meldować w starostwie, i przygotuj się, że cię zamkną do paki.

— W tyłu już siedziałem. Zobaczę jak wygląda polska! — odparł, niczem już niewzruszony Olesza. — A długoś ty siedział?

— Cały dzień. Dowodzili, że czegoś nie staje w naszych papierach. A co do broni, to mi mój rewolwer skonfiskowali, a na inną trzeba przedstawić akt kupna. Ta, co jest w domu, musiałyby być złożona już dawno do urzędu, a że się tego nie

zrobiło, grozi rewizja, konfiskata i kara. Zapewne policja lada dzień rewizję zrobi.

— Ogromnie to dopomaga w obronie od bandytów, — rzekł spokojnie Olesza. — Jednakże Kałaurowa miała rację — i odtąd słucham jej jak wyroczni. A dlaczego cię wypuścili z paki? Przecie brakującego papieru nie stworzyłeś? Chyba marki.

Sewer tylko ramionami ruszył — i obadwa splunęli jak na komendę.

— Ziarno siewne, narzędzia, żywność, amerykańska nawet odzież — jest — ale tylko dla wracających z Rosji chłopów. Regestracja strat wojennych już skończona. Termin minął.

— To najmniejsze, bo nikomu nie zwrócą. Oszczędziło się pisaniny. Widziałeś kogo znajomego?

— Ani żywej duszy. Urzędy zapchane, i jest tych referatów bez liku, ale wszyscy obcy — z końca świata. Od żydów dowiedziałem się o sąsiadach. Obrębskich wyróżnili bolszewicy, Horainy siedzą w ziemlance, Sięlużycki sam tutaj — rodzinę trzyma w Warszawie, Horeszków Prochod zabrano na osadnictwo wojskowe, Ordowie są i silnie stoją, Warzyńscy, Turscy, Jazwigłowie uciekli, zostawiwszy ekonomów — dojeżdżają latem.

— Bardzo ciekawy nastrój. O, cara patrzeć. Jak serdeczny twój uścisk powitalny! — ironizował

po swojemu Olesza! — Muszę i ja to osobiście obejrzeć. Stoję lepiej niż ty, bo nic nie mam. Ciekawym co mi zechcą i potrafią zabrać. Bo nawet żadnych złudzeń nie uchowałem. Ruszam zaraz.

— Dobrze. Bierz klacz i jedź!

— Niema głupich. Wędruję piechotą. Bo jak mnie zamkną do paki, kobyła będzie głodować, a tu do brony potrzebna. Ja się po swojemu urządzę.

Jakoż przebrał się w garderobę amerykańską, wziął kij i poszedł. Nie było go tydzień i już Niedobitowski chciał ruszyć na poszukiwanie, gdy wrócił. Znalazł w Horodyszczu policję, która długo i bezskutecznie poszukiwała broni. Asystowała temu pani Honorata, uprzejmie otwierając wszystkie drzwi, szafy i schówki.

Gdy stróże bezpieczeństwa odeszli, zbadawszy podejrzliwie i dokuczliwie dokumenty Oleszy, spytał:

— Sewer w kozie?

— Nie — sieje owies z Kornią. No — to trzydziesta siódma rewizja od początku wojny! — dodała, triumfując. — Najporządniej robili Szwaby!

Olesza zastał kolegę opasanego płachtą siewną. Siał złote ziarno z odkrytą głową i rozpromienieniem w oczach, zapatrzonych w rolę.

Korniło włóczył, dając rady Karabeli, trochę obrażonej na tę robotę „chamską.“

— Panna, hulałaby za zającami, alboby się *czwaniła* w miasteczku. Ucz się na chleb pracować!

— No, jesteś nareszcie! Siedziałeś w kozie?

— Co zaś. Dostałem pozwolenie na broń i chcieli mi dać majątek.

— Bajesz!

— Jestem inwalida wojenny i kandydat na osadnika. Poszedłem do swej władzy i opieki, do komisji osadnictwa i do komisarza rolnego. Ty jesteś wstrętny burzuj i obszarnik — ja pan! Teraz moje przywileje, panowanie i władza! — Niedobitowski popatrzał na niego i splunął.

— Psie krwie, chamstwo, hołodrańce, dzicz! Chcecie panować! A ja wam pokażę, że się wam nie dam — i z Horodyszczu mnie nie ruszycie!

I zaśmiali się obadwa.

Dokończył Sewer poletki i odpasawszy płachtę, leż obok przyjaciela, który siedząc na skłonie rowu, ćmił papierosa, patrząc na skowronki.

— Ty tak, a ja tak! Ty masz co bronić, to się broń i nie daj. Ja nie mam nic, mogę się zabawić. Toć jak na komedji! A wiesz, co mi proponowali? Osadę z majątku Horeszków.

— Twoich krewnych!

— Skąd mają wiedzieć. Toć te urzędniki z całego świata. Jest Moskal, jest Żyd — jest kilku z pod Karpāt. Co im mówi: Olesza czy Horeszka.

Nie słyszeli nawet w życiu o naszych stronach. Ale — i znajomego spotkałem! Pamiętasz Pistora?

— Tego kapitana z Tuły; specjalistę od cukru?

— Tego. Dostał się do Denikina — i teraz tutaj jest na czele kooperatywy!

— No, a coś rzekł na tę osadę u Horeszków?

— Spytałem po czemu dziesięcina. Powiedzieli, że żołnierzom i inwalidom państwo daje ziemię darmo. Wtedy zacząłem dłużyć w nosie i po długim namyśle poprosiłem o niewielką kamieniczkę w Warszawie, a gdy rzekli, że jeszcze niema natchwały sejmowej, powiedziałem, że poczekam, bo pewnie ktoś taki wniosek przedłoży Sejmowi.

— Tymczasem zajmij się tu obroną od wszelkich napaści — bo ja ruszam w świat, po inwentarze, narzędzia i nasiona. Czem ja tej Kałaurowej odpłacę za to wszystko, co ona tu uchowała!

— Ożeń się z nią.

— Boję się, bo prała nieboszczyka Saturnina siedm razy na tydzień.

Pojechał tedy Niedobitowski w daleki świat i wrócił aż po dwóch tygodniach z całą karawaną. Przyprowadził trzy pary koni z wozami naładowanymi pługami, bronami i ziarnem. Już w lesie spotkał Juchima z krowami, który go przywitał, wołając:

— Paniczu, byli bolszewicy. Całą noc strzelali.

— No i co?

— Panicz z Medwidły powiedział, że my kamieniami odpędzili. My przysięgali!

Ruszył ramionami i dalej pojechał. Juchim był to pół-idjota — jak wszystkie pastuchy. Ale w Horodyszczu, gdy minął zgiełk i troska z rozmieszczeniem tylu dostatków i zasiadł do wieczerzy, spytał:

— Mielicie napad bolszewicki?

— Dlaczego jeden? Dwa! — odpowiedział Olesza. Jednej nocy przyszli w kilku na rekonesans. Udawałem płacz kobiety i pisk dziecka. Obeszli tę fortecę i poszli. Na trzeci dzień przyszli w kilkunastu. Wtedy daliśmy im bobu. Wyobraź sobie, że pani Honorata ma nawet grzeczny zapas ręcznych granatów.

— Wcale niewiedziałam co to takiego, ale że to Niemcy nie bardzo pod koniec pilnowali, to sobie przechowałam. Myślę: może się zda.

— I zdało się. Jakem z dziesiątek cisnął z góry, a z dołu Kornilo prał z karabinu, poszli. Najgorsze było potem. Trzy trupy przezornie zaraz w nocy wrzuciliśmy do Stybelka, z kamieniem u szyi i nie dawaliśmy znaku życia. Ale chłopci donieśli policji, że „pany“ w nocy strzelali. Szczęściem, że Kornilo przewąchał donos, i mnie uprzedził. Gdy się policja zjawiała, jużemy byli zgrani. Zaczęło się dochodzenie, śledztwo, protokół. Wszystkie

kobiety zeznały, że siedziały w piwnicy i modliły się. Juchim, że spał przy krowach, a rano powiedziano mu, że bolszewików pobito kamieniami. To samo twierdziłem ja i Kornilo — nawet pokazaliśmy na strychu, spory zapas tej broni, która jest nieobjęta żadnym zakazem. A strzelali bolszewicy. Pisanina i grad krzyżowych pytań trwały dobrych kilka godzin. Wreszcie spytałem komendanta, czy właściwie popełniliśmy coś karygodnego, nie dawszy się porządną, ani spalić, na co mi odpowiedział, że włościanie narzekają, że we dworze jest broń, kiedy im broni posiadać nie wolno, a że Konstytucja zrównała wszystkich obywateli — jedne są prawa dla wszystkich i przywileje przestały istnieć.

Naturalnie odbyła się rewizja.

— Trzydziesta ósma! dodała — Kałaurowa.

— Ale teraz niech panicz rozpowie, co myśli robić z tą całą masą koni, i gdzie to schowamy, bo w domu się nie zmieści.

— Jutro dostanę parobków i zaczniemy odłogi karczować. Konie spędzą lato pod niebem, a do zimy odbuduję stajnię i stodołę.

— Będą mieli bolszewicy co palić.

— Jak spalą, to znowu odbuduję, ale nie będzie powiedziane, że Niedobitowski zaniedbał swe Horodyszcze.

Stały pługi na porosłych zagajami łąkach, stanął osobiście Sewer z siekierą i motyką — i pracował z wielkiem dusznem weselem i zaciekłością. Chłopi, patrząc na to, spluwali, niechętnie warcząc: — Czart Lacha nie weźmie! — ale najmowali się do pomocy, bo płacił sumiennie i żywił tę głodną, powracającą z Rosji tłuszcę. Olesza pilnował lasu i szykował materiał na budynki.

Jesienią na karczunkach zazieleniała obfita ruń — a we dworze bieleły ściany dwóch dźwigniętych budynków.

Administracja rządowa, o ile stanowczo odmówiła pomocy przy odbudowie obszarnika, o tyle skwapliwie okazała swą troskliwość co do ściągania podatków. Grad „nakazów płatniczych“ tłukł Horodyszcze. Sewer, jakby oszalały w swej pracy, czytał te różnokolorowe papierki z jakąś tępą rezygnacją. Były jakieś kary i opłaty za czas okupacji — były podatki dochodowe i gruntowe za rok bolszewickiej inwazji, były jakieś fantastyczne opłaty od przedmiotów zbytku — cała masa napaści — od których trzeba się było bronić, tłumaczyć, wyjaśniać, protestować.

Że zaś Niedobitowski nie miał na to czasu i środków, sekwestrator zjeżdżał co parę tygodni ku radości i triumfowi chłopstwa, że „Pana“ licytują.

Co prawda nie było co spisywać i sprzedawać i Olesza z całą powagą ofiarowywał „amerykańską“ garderobę, cnotę pani Honoraty, swoją zdrową nogę i oko Sewera.

Jednakże zabrano jedną z dwóch krów i parę koni, bo wedle prawa na gospodarstwo wystarczała para koni i krowa.

Gdy zima nastąpiła, nie było odpoczynku. Co nocy jeden z kolegów — przyjaciół wartował przy budynkach i stogach siana, drugi czynił wycieczki do lasu, broniąc od bezustannej kradzieży chłopskiej. Było to pogotowie ciągle, męczące, dokuczliwe, ale zamiast wyczerpania, budziło zaciekłość.

— Nie ustąpię i nie dam się, pomimo wszystko i wszystkich, — warczał czasami Sewer.

Z wiosną rozpoczął się dalszy karczunek. Nowiny dały stokrotny plon, ale ledwie zwieziono zboże do stodoły — zostało zajęte za podatki.

— Żebyż choć za bieżące — ale za zaległe! — biadała Kałaurowa.

— I żebyż zabrali zaraz, ale na dobitkę trzeba wartować, bo młocarnia gotowa, — ziewał Olesza. — Nie wiem, kto chleb z tego zboża jeść będzie, ale mu chyba na zdrowie nie pójdzie.

— Żydzi kupią i do Bolszewji przeszwarują, — mruknął Sewer — zajęty tylko nowemi siewy.

Wielka była radość, gdy pierwszy raz zawarczała młocarnia, i pierwsze krwawą pracą i potem zdobyte ziarno Sewer osobiście siać zaczął. Był piękny, wrześnieowy dzień, tak cichy, że szelest ziarn padających grał, jak srebrne dzwoneczki. I grała dusza tego kresowego Polaka i padały z niej myśli dobre i mocne.

— Ano — nie darmo — a tembardziej za wskrzeszoną ojczyznę trzeba płacić. Niech biorą! Ale ziemia wytrzyma i ja z nią. Życie całe w trudzie, i owszem, ale swoje Horodyszcze tak postawię, tak uprawię, tak obuduję, że kto z tamtej strony spojrzy — to powie: to tak Polska błyszczy — to takie polskie łany złota. — I siał, siał, coraz silniejszy i twardszy.

Na zimę zostali z trochę zboża i kartofli, cały dochód zabrały podatki, a gdy zgodnie z tem złożono sprawozdanie kasowe do Izby Skarbowej dla podatku dochodowego — otrzymano papier, że rachunki nie są prawdziwe i że z obszaru ziemi Horodyszcza wedle najniższej normy powinno być dochodu tyle to — ergo należy podatku dochodowego tyle to.

— Pytanie — poco w takim razie każą składać rachunki, jeśli mają normy! — rzekł Sewer.

— Żeby czternastu urzędników w Izbie Skarbowej miało papierki do pisania i pobory do bra-

nia, — odparł Olesza. — Ilość podatków zaczyna brać wyścig z rewizjami. Zakładam się z panią Honoratą, że podatki wezmą rekord.

— Trzeba będzie chyba jałówkę cielną sprzedać — mruknął Sewer.

— Po moim trupie! — wrzasnęła Kałaurowa. Mam zegarek po Saturninie — niech pan bierze i sprzeda — jałówki nie dam!

Sprzedano tedy konia i nędza wlokła się dalej. Po lodzie zmarzłego Stybelka zjawili się w lutym bolszewicy. W czarną noc to było. Dom się obroził, ale podpalili stodołę. Olesza, który tej nocy był na warcie, postrzelił jednego, co chciał i stajnię podpalić, dopędził rannego i obezwładnił. Poznano chłopą ze wsi. Miał przy sobie karabin i rewolwer.

— Ten zacny „polski obywatel“, który nie posiada broni — więc donosi, że dwór takową ma — szydził Olesza, gdy na drugi dzień zjawiała się policja i zasiadła do pisania protokołu. I począł jak nakręcona katarynka recytować:

— Olesza, Jan, rzymski katolik, kawaler do wzięcia — urodzony w Medwidle — z ojca Jana i matki Zofji, dnia 15. Czerwca 1890 — na nowiu, w piątek, ospa szczepiona — znaki szczególne, brak palców u lewej nogi — zajęcie: oczekuje na drugą wojnę.

— Trochę wolniej, panie, trochę wolniej! — rzekł policjant, posiadający sztukę pisania w bardzo małym stopniu.

— Nie mogę, panie komendancie! Mam taką wprawę w zeznaniach do protokółów, że byłem ujrzał władzę, wpadam w trans. To chorobliwe. — Po długiej pisaninie, zabrano chłopą do szpitala, a karabin Oleszy do policji.

Po paru tygodniach chłop wrócił, ale o zwrocie karabinu nie było mowy. Należało złożyć podanie — jechać do odległego starostwa — Olesza machnął ręką.

— Spudłowałem — rzekł — mierzyłem w nogę — trzeba było wyżej — i wrzucić w przerębel. Teraz chłop drwi w żywe oczy! Na drugi raz się poprawię.

— Trzeba odbudować stodołę! — zdecydował spokojnie Niedobitowski. — Szczęście, że wszystko było omlócone.

— Niema co narzekać; mamy polskie szczęście. Bo czy nie szczęście, że bydło poszło na podatki, więc nie szkoda paszy, co się spaliła w stodole. A czy nie szczęście, że tym razem nie było rewizji. Dobra nasza, Sewer!

Latem raz pierwszy mieli gości. Zjechała Ho reszkowa, ciotka Oleszy, która po długich staraniach odwojowała część swego Prochodu i zjechała

na pustkę i ruinę, z jedynem dobrem, które jej zostało w postaci pięciu córek. Oddała siebie i swą biedę w opiekę kolegów.

— Niema co się wahać! — rzekł Niedobitowski.
— Pasuję cię, Jasiek, na wojskiego. — Musisz te baby wziąć w opiekę.

— Pod warunkiem, że choć z jedną się ożenisz.

— Jak mi oko odrośnie!

Ubył tedy Olesza, choć wpadał często, opowiadając po swojemu niesłychane wydarzenia i drocząc się z Kałaurową, która w jego zastępstwie pilnowała lasu, zdawszy domowe gospodarstwo i kuchnię na podrastającą Sabinę.

Niedobitowski, jeśli możliwe, jeszcze więcej szerniał, schudł — ale stodołę do jesieni postawił, i już większą część pól wydarł i obsiał. Wtedy zjawiał się oficer od wojskowego osadnictwa. Chciał części Horodyszczu dla żołnierskich osad, specjalnie dla Ślązaków, którzy wnieśliby tam żywiół przemysłny, stworzyliby polskie sklepy, współdzielnie i rzemiosła. Mówił z zapalem, jakiś arkadyjski obraz roztaczając przed słuchającymi, bo i Olesza był właśnie u kolegi.

— Czy on kpi, czy istotnie tak głupi! — myślał Niedobitowski, a Olesza wysłuchawszy, odparł:

— Ja jestem siostrzeńcem pani Horeszkowej z Prochodu. Z tego majątku zabrano większą część

na osadnictwo. Osad na planie jest dwadzieścia-pięć, a de fakto osadników trzynastu. Zresztą pan porucznik tę sprawę dobrze zna.

— Ano tak, istotnie! W Prochodzie dobór ludzi był niefortunny! — odparł mętnie oficer. — Co prawda ci ludzie walczą z olbrzymimi trudnościami, a przede wszystkim z brakiem gotówki. Kredyty państwo wydziela skąpo. Ale w każdym razie to żywioł gruntujący polskość na kresach — to nasze przedmurze i straż graniczna.

— Tak — ciężko im. Ziemię zabrać za darmo można było. Obszarnicy to mają — ale, niestety, nie można było zabrać pani Horeszkowej inwentarzy, narzędzi i kontrybucji dla osadników, bo tego niema, i sama mieszka w izbie przerobionej ze spichrza. A jednakże to, co jej pozostało, już jest obsiane, kiedy większa część osad leży odłogiem. Ma wprowadzić pięć córek, a kawalerów nie brak wśród osadników, tylko wolą krasawice wiejskie. Trzech ożeniło się z dziewczuchami z sąsiedztwa i wsiakają w Ruś prawosławną. Ci najpraktyczniej się urządzili, bo w razie ruchawki — ich może lud nie wyrznie, co z pewnością uczyni z innymi.

— A pan porucznik, dlaczego chce mi zabierać ziemię pod osadnictwo — mając jeszcze tyle osad leżących odłogiem, a resztę w stanie tworzenia, bez budynków i inwentarzy. Ja ze swej ziemi

placę państwu podatki, a chyba, gdy mi ją zabiorą za darmo — nie każą potem od tych gruntów — bym ja podatki płacił? A może?

— Pan wyraża się nieodpowiednio względem urzędnika polskiego. Mógłbym pana pociągnąć do odpowiedzialności. Reformę rolną uchwalił Sejm ustawodawczy Rzeczypospolitej.

— Od odpowiedzialności się nie cofam. Może pan postąpić wedle ustaw. — Pan tworzy tu nowy porządek — ja pilnuję dawnego. Niedobitowscy w Horodyszczu trwają od paru wieków — i będą trwać dopóki Bóg zechce. Żegnam pana!

Gdy porucznik siadał na stójkowy wóz Olesza, go uprzejmie przeprowadzał, i rzekł:

— To, panie, burżuj, żubr! Warto go nauczyć, a raczej oduczyć, że szlachecczyzna skasowana uchwałą sejmową. Teraz Polska nie potrzebuje panów! Obroni kresy lud, urzędnik polski i osadnik, byle mudać inwentarze, narzędzia i pokrzepić ducha zapomogami! Ja dopiero czuję się dobrze, odkąd majątek został zagranicą, a tutaj jestem kandydat do dostania ziemi. Żeby się tylko to chłopstwo tutejsze tak nie mnożyło — a to gotowo połknąć wszystko!

— Starczy tych latyfundjów dla wszystkich! A pan Niedobitowski, żeby dobrowolnie coś ze swych obszarów zaofiarował, uchroniłby się od

przymusowego przejęcia części majątku na Państwo. — Olesza wsiadł na swego podjezdka i człapał przy wozie.

— Mnie ktoś mówił, że osadnictwo na razie wstrzymane, aż się uporządkuje dotychczas wzięty kontyngent — ale to widocznie bajki! — bąknął.

— O tak — to bajki! — potwierdził skwapliwie porucznik.

— Niechże pan zabiera conajwięcej! — zaśmiał się Olesza i skręcił na boczną miedzę, ale jeszcze rzucił:

— Ale co do tych podatków od ziemi zabranej pod osadnictwo, to Niedobitowski miał rację. Pani Horeszkowa dwa lata z niej nie korzysta, ale płaci.

— Procedura powolna, ale to z czasem się uporządkuje! — pocieszył łaskawie oficer.

— Powtórzę to pani Horeszkowej, na pociechę, za zlicytowane onegdaj zboże! — zaśmiał się Olesza i zniknął w haszczach.

A w Horodyszczu Sewer patrzył za odjeżdżającym oficerem i jakby nie słyszał głosu Kałaurowej:

— Co ten chciał zabrać, paniczu?

Wreszcie trąciła go w łokieć.

— Co panicz taki zatroskany?

Ocknął się i opowiedział.

Nie wybuchnęła złością i łajaniem, jako miała zwyczaj. Milczała długą chwilę.

— Za co oni nas tak nienawidzą, paniczu! Dlaczego chcą nas ztąd wydusić, wymęczyć, wygnać! Dręczył Moskal wróg — dręczył Niemiec pijawka, dręczył Bolszewik szatan — ale dlaczego dręczy każdy z tych nowych Polaków. Co my Polsce zawinili! Myż się o nią modlili, my jej jak zbawienia wyglądali!

Załamiał się jej głos, i raz pierwszy może w życiu po bruzdach surowej twarzy stoczyła się łza.

A Sewer jakby się obudził ze zmory, otrząsnął z napadu rozpoczy.

— Gdzie płachta siewna. Trzeba w pole iść. Wołajcie na Kornila, niech z bronami rusza, — rzekł twardo.

A potem się sprężył i dodał, kładąc jej przyjaźnie rękę na ramieniu.

— Polska to ja — to wy! A tamto szum po wielkiej burzy, fala, co słabe, podłe i głupie znieś się — ale nas nie. Żywi stąd się nie damy wykończyć, ani ustąpimy przed szumowinami.

W szarej mgle jesienno-go dnia tego, Niedobitowski, jak co roku o tej porze, zasiewał swoją ziemię. Leżała przed nim ukochana, siwa, uboga, poleska, a on szedł bruzdą zagonu i ciskał miarowo srebrzyste żyto. Od boru miodowo woniały wrzosy;

po późnych kwiatach świerzopu bursztynowego gwarzyły pszczoły — w chmurach żegnały swe letnie wyraje sznury żurawi. Gdy siewca zawrócił ku wschodowi, widział myślą szatańskie oczy bolszewika, czyhającego na tę jego pracę — gdy zawrócił ku zachodowi, widział dymy chatnie wsi zawistnej, rozagitowanej — gotowej do grabieży cudzego dobra. Nad nim wisiało posępne niebo, grożąc ślą, śniegiem, gradem, i długą, bezsłoneczną zimą w pustce i samotności. Był taki drobny, mały, taki sam na tej swej wschodniej strażnicy Rzeczypospolitej. A on siał, siał — w swej zawziętości kamienny, w swem postanowieniu trwania żelazny. Wszystkie moce przodków, co przetrwali Katarzynę Carycę, Wieszatiela Murawjewa i tylu innych — skupiły się w tym nędzarzu, który skazany przez nowe prawa i czasy na wygnanie i konfiskatę, ziarno w ziemię rzucał — wierząc, że wytrwa.

TYDZIEŃ U NIEDOBITOWSKICH.



Doktór Kulesza zaczął tyć. Kupił tedy wyżła, dubeltówkę, nabojów na kaczki i postanowił spędzić tydzień na Polesiu u swych starych znajomych Niedobitowskich.

Przed wojną bywał u nich co roku, albo wiosną na toki, albo jesienią na młode cietrzewie, i wywdzięczał się gością w Warszawie, gdy Niedobitowski zjeżdżał z żoną na parę tygodni zimowych wywczasów.

Potem wojna przerwała stosunki. Doktór tłukł się po różnych frontach, Niemcy zarekwirowali mu mieszkanie, a gdy się ich pozbył i stosunki wróciły do jakiegokolwiek równowagi, kilka lat minęło i byłby zupełnie zapomniał Niedobitowskich, gdyby nie owo złowieszcze tycie.

Przypomniawszy sobie wielkie zielone płaszczyzny Polesia, sosnowe lasy, wrzosowiska, zalewy, błota i wysłał list z prośbą o gościnę, otrzymał odpowiedź uprzejmą, zastrzegającą tylko, że wygód przedwojennych nie może się spodziewać — i oto jechał odmłodzony nadzieją swobody, ruchu i myśliwskich sukcesów. Stał mu w pamięci stary, saski

dwór z gankiem o pękatych kolumnach, piękne cieniste szpalery, sad odwieczny, trzciną kryty folwark, stawy, słowiki, stada bydła i serdeczna gościnność pracowitych gospodarzy. Dzieci musiały prawie dorosnąć — dwóch chłopców i dziewczynka, sąsiedztwo było dość liczne, kuchnia prosta, gospodarska, smaczna. Pokój gościnny słoneczny, humory wesole i zgoda rodzinna bez chmur i burz. Uśmiechnął się na wspomnienie Niedobitowskiej. Była przystojna, zdrowa, z ustami jak maliny, zębami jak młody psiak. Entuzjastka, patrijotka, wiecznie zajęta tajem nau czaniem, opieką nad kościołami, skarbnica narodowych pieśni, opiekunka wszystkich cierpiących za wiarę i ojczyznę.

Doktór Kulesza lubił się z nią droczyć, żeby wywołać skry, a czasem łzy z oczu, a mąż flegmatyczny, trzeźwy poleszук, mawiał, że największym dowodem niedołęstwa rosyjskiej administracji było to, że jego żona chodziła wolna po świecie, zamiast siedzieć pod kluczem w „ostrogu.“ Jaka musi być szczęśliwa i triumfująca teraz, w wolnej, wskrzeszonej Ojczyźnie — uśmiechnął się na tę myśl Kulesza.

Droga była dość daleka — całe dwanaście godzin i zaraz za Bugiem uderzyła doktora różnica krajobrazu, pustka i ruina.

Stacje kolejowe były to budy, sklecone przez okupantów, wśród gruzów dawnych budynków, pola porosłe brzoźowym lub olchowym zagajnikiem, wsie, które pozostały bez okien w chałupach, z dziurami w strzechach — a miejscami w pustkach kwitnące sady — znaczyły miejsca dawnych siedzib. Na stacjach mało było ludzi — trochę czerni żydowskiej i chłopów w bolszewickich łachmanach — po wygonach gdzieś kilkadziesiąt sztuk bydła, na drogach zrzadka wóz ze szkapą wychudłą. Wojenne rany zabiżnione już w Kongresówce, tu widniały jeszcze otwarte, krwawe i nieopatrzone.

Współtowarzysze podróży, bardzo zresztą nieliczni, byli, jak wywnioskował z rozmowy, urzędnicy, nauczyciele i wojskowi osadnicy. Mówili o klasach służbowych, o drożyznianych dodatkach, o posadach i kolonjach. Narzekali i klęli los, który ich w tę dzicz zagnał.

Na zadowolenie z wycieczki zaczynały nadciągać chmury i z uczuciem ulgi wyszedł doktor na stacyjkę, pustą i odrapaną jak inne. Biały Orzeł jaśniał nad nazwą — a na platformie przechadzał się policjant z karabinem, który go natychmiast zaczął o legitymację. Zdziwił się doktor Kulesza.

— Przecie jesteśmy w granicach Rzeczypospolitej.

— Proszę o przedstawienie legitymacji! —
powtórzył ostro policjant.

Tu spojrział na bagaż i dodał:

— Co to? Strzelba! Proszę o przedstawienie biletu i karty łowieckiej. Dokąd się pan udaje?

— Do państwa Niedobitowskich w Zalesiu.

Wydobył doktor swe dokumenty, które policjant długo wertował, wreszcie orzekł:

— Proszę za mną, na posterunek.

— Dlaczego? Przecie mam papiery w porządku, i czekają tu na mnie konie z Zalesia. Pan Niedobitowski jest chyba panu znany?

— Nie znam wszystkich tutejszych burżujów. Komendant to załatwi.

— Zawołam tedy furmana z Zalesia, żeby bagaż zabrał.

— Bagaż ma być także na posterunku. Niech go pan ze sobą zabiera.

Doktor stracił cierpliwość.

— I ja i bagaż pojedziemy na posterunek. Może pan eskortować.

Wyszedł za budę stacyjną i obejrzał się, szukając bryczki i furmana. Ale stał tam tylko wóz kilimkiem przykryty i chłop ćmący fajkę.

— Czy niema koni z Zalesia?

— A ot — ja — odparł chłop, zabierając koniowi siano z przed pyska i pakując je do wozu.

— Zabierzcie moje rzeczy i jedźcie na posterunek policji. Daleko to?

— A ońdzie! — wskazał chłop jeden z domków za stacją.

Zajechał tedy doktor Kulesza, eskortowany przez policjanta i znalazł się w izbie niechłujnej przed obliczem komendanta.

Zaczęło się znowu przeglądanie dokumentów, tak podejrzliwe i szczegółowe, jakby każdy mógł być falsyfikatem, potem rewizja strzelby, sprawdzanie firmy i numerów — potem przetrząsanie kuferka. Rzucili się jak na łup na lornetkę polową, żądając kwitu, gdzie i kiedy była kupiona.

Doktor ruszył ramionami.

— Mam ją od dwudziestu lat, a gdym kupował, nikt nie brał ani dawał kwitu.

— To podpada pod kategorię łupów wojennych — i mamy rozporządzenie przedmioty takie konfiskować. Może pan wnieść podanie, przedstawić kwit i wtedy zostanie panu zwróconą.

— Proszę tedy przedewszystkiem o kwit, że mi ją pan zabrał przemocą swej władzy.

— Pan używa wyrażen karanych dyscyplinarnie. Będę zmuszony zestawzić protokół.

— Proszę bardzo. Będę miał dowód czynu samowoli i potrafię z tego zrobić użytek.

Komendant zaczął szukać papieru, ale nieskoro mu to szło. Wreszcie rzekł:

— Pan jedzie do Zalesia. Zgłoszę się tam pojutrze, aby to załatwić. Może pan tymczasem lornetkę zatrzymać. Sprzedać jej nie ma pan prawa.

— Nie mam też zamiaru. Czy już koniec?

— Może pan jechać.

Chłop z Zalesia włożył rzeczy na wóz i zaciął szkapę. Gdy odjechali kawał, obejrzał się na stację i szyderczo się uśmiechnął.

— Ot i nie udało się. Myśleli, że pan da na parę butelek wódki, a trafili na zębatą sztukę.

Doktór wybuchnął.

— Co śmiesz gadać! Prawa są teraz takie ostre. Mało to było wojennych drabów, co kradli rządowe rzeczy!

— Jak kradli — to i mają do tej pory. Żydzi mi chałupę rozebrali i postawili w miasteczku, a jak chciałem odebrać, to mnie policja zbiła. Pan to widać z innego kraju przyjechał.

— Toście także do Rosji uciekli.

— Jak i wszyscy.

— A teraz służycie w Zalesiu?

— Nie, pan mnie najął, żebym pana z kolei przywiózł.

— Konie bardzo zajęte?

— Nie, koni to tak, jak niema. Sprzedał pan po Wielkiejnocy. Zostało tylko dwie pary, a teby na stację nie zaszły.

Zamyślił się doktor Kulesza, obejrzał wkoło.

Jechali to piaszczystą wydumą, to grobelkami — objeżdżali bagna, grząskie wypasy. Mało co było uprawnych pól, dużo haszczów, łozy, całe łany niekoszonych traw zeszłorocznych — pustka, ruina.

W jednym miejscu chłop biczem wskazał na łąk, poznaczony kopczykami.

— A to folwark od Zalesia, co na kasę zabrali.

— Dla żołnierzy?

— Nie wiem, czy to żołnierze. Byli jacyś panowie — pochodzili, popatrzyli i pojechali. Dwa lata tak stoi. Gmina chciała na trzeciak siać, ale nie pozwolono.

— Macie wójtów teraz i radę gminną. Sami się zarządzicie.

— Za carskich czasów to samo było — tylko teraz dwory do gminy należą. Ja w radzie też jestem.

— To dobrze się czujecie pod polskim Rządem?

— A, kto dolary ma, temu dobrze, a kto kradnie, to temu też dobrze. Niema nijakiej różnicy, tylko wódka podrożała i zarobków niema.

— A dzieci do szkół posyłacie? Polak nauczyciel?

— Nauczyciel uczy po polsku, ale on tutejszy, syn psalomszczyka. Dzieci chodzą zimą — teraz już nie, bo pasą bydło. Ot i Zalesie widno.

Wjechali w olszowe zagaje — na horyzoncie czerniała gęstwa starych drzew dworu. Nowy krzyż przydrożny stał u zawrotu, chłop konie popędził.

I oto znalazł się doktor Kulesza przed dworem, a raczej na dawnym podwórzu, bo domu już nie było. Stały tylko jako pamiątka, pękate słupy ganku, a za niemi, na pogorzelisku, gąszcz młodych brzoźek, chwastów i chmielu. Wózek zajechał i stanął przed oficynką — wrośniętą w ziemię, z połataną strzechą i ganeczkiem na dwóch słupkach.

Na progu ukazał się Niedobitowski w surducie z szarego samodziału i butach zabłoconych. Uśmiechnął się do gościa i opędzając parę ujadających psów, pomógł mieszczuchowi wygramolić się z wozu.

— Jezu Marja, co się u was porobiło. Dom spalony! — zawołał doktor ze współczuciem.

— Spalili Moskale, ustępując — jeszcze w 15 roku — folwarku też niema.

— Aleście żywi zostali. Rodzice, żona, dzieci!

— Rodzice pomarli przy końcu niemieckiej okupacji. Żona i dzieci wytrzymały. Chodźże, chodź, a wybacz lokal, ale czem chata bogata — tem rada!

Przez sień z powybijaną ceglana podłogą, zaprowadził gościa do małej izdebki, gdzie było tylko łóżko na drewnianych krzyżakach, stolik u okna, stółek i prymitywna umywalnia w kącie.

Okienko tuż przy ziemi — wyglądało na sad w kwietnej bieli.

— Spocznij — za godzinę obiad.

— Ładne tu u was porządki! — Zaczął doktor opowiadać awanturę z policją. Ale Niedobitowski nie okazał ani oburzenia, ani zdziwienia.

— A tak. Rewidują i konfiskują. My już kolejną jeździć nie możemy, bo dotąd nie możemy otrzymać „przynależności państwowej“ — koniecznej do paszportu, a naszemu Kazikowi, jak wracał ze służby ochotniczej, odebrali zandarmi w wagonie mundur i lornetkę, choć miał własne i kwity w porządku. Ale to głupstwo jeszcze. Dobrze, że mu zostawili koszulę i spodnie!

— Ależ to skandaliczne nadużycia. Trzeba protestować, skarżyć, pisać do wyższych władz.

Niedobitowski popatrzał na gościa z uśmiechem pobłażliwego szyderstwa.

— A czy ty znasz wszystkie uchwały sejmowe?

— No, nie! Któżby z ludzi pracy mógł to spa-
miętać.

— Ja też nie! Ale kto tylko się skarżył, ten się dowiedział, że pod taką datą i numerem jest uchwała — wedle której władza postąpiła słusznie, a że uchwały codziennie są wydawane, więc pomyśl, ile tego przybywa i rośnie. Szkoda twojej fatygi. Zaraz ci wyjaśnię. Pierwszy policjant, to syn diaka z Krasnej — nie umie ani słowa po polsku, więc musiał twoje dokumenty przedstawić komendantowi, a ten jest tak straszny pijak, że nie bywa nigdy zupełnie przytomny. Jak się prześpi, to zapomni i nie będzie cię dalej niepokoić. To jeszcze głupstwo.

Doktór umył się i przebrał, nie przestając indagować gospodarza.

— Jakże polowanie? Masz zawsze tyle cietrzewi i kaczek?

— Cietrzewie były — wyginęły po pożarze lasu.

— Co? Las się spalił!

— Palił się dwukrotnie. Raz przy Niemcach, potem przy bolszewikach. Mój młodszy, Wacek, dowodzi, że już znowu trochę cietrzewi się odhodowało, ale my nie polujemy, bo nam strzelbę policja skonfiskowała, a karty łowieckie takie

drogie! Wacek, który lasu pilnuje, będzie ci służył za przewodnika.

— To chłopcy w domu? — zdziwił się doktor.

— Tymczasem w domu. Kazik do nowego roku był na uniwersytecie, Wacek w gimnazjum — ale nie starczyło przy terażniejszych ciężarach — więc uczą się w domu, będą zdawać — jeden maturę, drugi swoje semestry — uczą się i pomagają. Co robić! Zresztą i to głupstwo!

— Cóż u licha u ciebie nie będzie głupstwem?

— Powiem ci na końcu, na odjeźdźnym! Zresztą i sam to odczujesz! Chodźmy!

Wyprowadził gościa na drugą stronę sieni, do izby trochę większej — gdzie stał pośrodku stół z sosnowych tarcic — i w koło stołki do siedzenia. Znać było rękę kobiecą, po kwiatach w garnku na stole, po festonach z barwnych liści i widłaków, które stroiły nagie ściany. Na stole, pokrytym wytartą ceratą, leżał bochen chleba czarnego, dzban z mlekiem i nakrycia z rozmaitych fajansowych talerzy. Pod oknem drugi stół zarzucony był książkami; służył widocznie do nauki chłopców. Za ścianą mieściła się kuchnia i wielki chlebowy piec zajmował cały kąt izby.

— Ciasno macie i niewygodnie, — rzekł doktor.

— Nam się wydaje rozkosznie i dostatnio. Poprzednio mieszkaliśmy wszyscy w jednej izbie przyrobionej do stodoły, która cudem ocalała przy pożarze folwarku.

— Czemuż tu nie mieszkaliście?

— Gdy nam dom zapalili kozacy nad głową, musieliśmy się skryć do lasu. Chcieli nas gnać do Rosji, ale Niemcy nas ocalili — tak prędko przyszli. Ale przez ten czas tę oficynę zajęli jacyś uchodźcy z Kongresówki, i nie było sposobu ich się pozbyć. Zrazu ich Niemcy nie puszczali — a potem przyszła ochrona lokatorów i zaledwie rok temu się wynieśli — otrzymawszy posady rządowe. Na pożegnanie dali donos do „Denatu“, że mam niemieckie maszyny. Zabrano mi kierat od młocarni, wialnię do zboża, bronę łukową i siewnik.

— Jakto zabrano? Twoje narzędzia!

— Ano — jak twoją lornetkę! Nie miałem dokumentów kupna, więc była to zdobycz wojenna, dobro należne państwu. Jest na to uchwała sejmowa a donosiciele dostają procent.

— Czy i to głupstwo?

— Tak — i to głupstwo.

— Ale jakim cudem ocalało to biurko? — spytał doktor, wskazując na stary kantorek czeczotkowy, stojący w kącie.

— Wypadkowo stał w tej oficynie i został, — odparł Niedobitowski, przesuwając pieszczotliwie dłonią po tym pradziadowskim sprzęcie. — Nawet chłopcy poreperowali zamki i oczyścili po rabunku lokatorów. Jedyne zamczyste meble, ale niema czego zamykać — uśmiechnął się.

W tej chwili drzwi w głębi się otworzyły i weszła kobieta z dziewczynką.

Doktor spojrzał i chwilę stał jak ogłuszony niespodziewanym ciosem. Czy to mogła być Niedobitowska, czy może jej matka? Ta kobieta z twarzą pooraną zmarszczkami, z włosami zupełnie siwymi, z wyrazem zgaszonych oczu, z ustami bladymi, na których wymuszony uśmiech był raczej spazmem.

W wielkim roboczym fartuchu, z rękawami zawiniętymi poza łokcie — niosła garnek parujący, a za nią dziewczynka — salaterkę kartofli.

— Pani Zofjo! — zawołał wreszcie, wyciągając do niej obie ręce.

Postawiła garnek na stole i podała mu dłoń twardą, namuloną, ciemną.

— Nie poznał mnie pan narazie. — Próbowала dalej się uśmiechać. — Nic dziwnego — ja sama siebie nie poznaję. Proszę, siadajcie panowie, chłopcy zaraz przyjdą. Maniusiu, nie pamiętasz pana doktora Kuleszy? Wyrosła? Prawda?

Dziewczynka, równie jak matka w fartuchu i z zapracowanemi rękami, dygnęła i co rychło cofnęła się do kuchni.

— Przeżyliście tutaj straszne lata. Cofanie Rosjan, okupację Niemców — ciągły rabunek i naprężenie nerwów. Wycierpieliście nad miarę.

Niedobitowska rozlała zupę do talerzy — gospodarz ukroił chleba — zasiedli.

— Cofanie Rosjan trwało tydzień — i pomimo spalenia dworu, przymusowej ucieczki, powrotu do zgłiszcz — były to wielkie i raczej radosne dni. Wiekowy wróg ustąpił — czuliśmy, że się spełniają nasze nadzieje, że się iszczą proctwa, że przychodzi kres niewoli. Nie liczyło się zapłaty za taki skarb, nie czuło ruiny, głodu, nędzy, poniewierki. Byliśmy szczęśliwi. Niemcy nie mieli już co nam zabierać, ani co grabić. Byliśmy silni swą biedą. Owszem dali nam pomoc, pomogli obsiać, zostawili parę sztuk inwentarza. Przez trzy lata okupacji żyliśmy jako tako, pracowali, raczej dźwigaliśmy się — no i ciągle czuliśmy, że to chwilowe, że Polska idzie! Wszystko wydało się lekkie wobec tego.

Drzwi kuchni otworzyły się znowu — weszli chłopcy. Jeden ośmnastoletni, drugi o parę lat młodszy. Obadwa w kurtach z szarego samodziálu i mocno sfatygowanych butach.

Uklonili się w milczeniu, zajęli swe miejsca i zaczęli jeść prędko i chciwie.

— Skończyliście? — spytał ojciec.

— Nie skończyłem, ale konie ustały — nie wiem, czy zabronujemy do wieczora! — odparł starszy tępym, apatycznym tonem.

— Na jutro gmina żąda koni dla dostawy drzewa do starostwa! — rzucił młodszy, z dzikim błyskiem buntu w oczach.

— Przecie już trzy razy posyłaliśmy! — stęknął Niedobitowski.

— Gmina już dała 1500 podwód, ale zawsze mało. Żądają teraz dwustu.

— Żebyż choć posiać dali!

Starszy ruszył ramionami.

— Nasze konie trzy dni tracą z tem drzewem..

— Mało macie koni? — spytał doktor.

— Sześć już tylko zostało. Trzeba było sprzedać cztery najlepsze na podatki.

— Ale przez to gospodarstwo cierpi.

Młodszy zaśmiał się z goryczą starości.

— Nasze gospodarstwo już zaraz przestanie cierpieć, bo go wcale nie będzie.

Niedobitowski spojrział znacząco na syna, a ten schylił głowę i umilkł.

Dziewczynka sprzątnęła i zmieniła talerze i podała na stół misę klusek z serem.

— Panna Maniusia wyrosła na pilną gospodynię! — rzekł uprzejmie doktor.

— Pracujemy wszyscy! — odparła poważnie.

— Wacku, zwrócił się Niedobitowski do młodszego — zaprowadź pana doktora na kaczki.

— Służę wieczorem na ciąg.

— Na cietrzewie już za późno?

— Małe toki. Mnóstwo cietrzewi przepadło w pożarach lasów.

— To się las kilkakrotnie palił?

— Pierwsi palili Moskale i uchodźcy — potem Niemcy, gdy palili łąki — wreszcie bolszewicy w dwudziestym roku. Nie las to, a czarne szkielety, tak zniszczony, że nawet pomimo najlepszej chęci i starań, rząd polski, nie znalazł dla chłopów na odbudowę. Cztery razy sprowadzał różne komisje i polskie misje Metodystów — i nic wziąć nie mogli.

— Ale zagajniki puściły się bujnie i już tak strasznie nie wygląda! — rzucił Niedobitowski.

— A susz można wyprzedać! — pocieszał doktor.

— Kupców na drwa niema, a chłopci wolą kraść, niż kupować — wtrącił apatycznie starszy.

Obiad był skończony, gdy psy podniosły larum i przed ganeczek zajechała furka, a na niej

jakiś jegomość w czapce z orzelkiem i skórzaną teczką pod pachą.

— Urzędnik! — szepnęła Niedobitowska, błędąc.

Gospodarz wyszedł naprzeciw, chłopcy zniknęli w kuchni — pani domu spiesźnie sprzątała.

Urzędnik wszedł — elegancki, młody człowiek, ubrany jak z igły.

— Ja tu do pana o drobną sumkę zaległych podatków! — rzekł, rozkładając papiery.

— Co znowu! — zaprzeczył Niedobitowski — mam kwity w porządku — mogę przedstawić. O co chodzi?

— O stokrotną podwyżkę gruntowego; sto pięćdziesiąt milionów — bagatela.

— Powiedziano mi, że mamy ulgę do września.

— Tylko gospodarstwa do 45 ha — a nie większe obszary!

— Ach, tak — jak zwykle. Ale zapłacić nie mogę — nie mam gotówki.

— Będę zmuszony zająć. Termin minął.

Niedobitowski potarł czoło.

— Ano, trudno. Tylko nie rozumiem, co pan tu u nas zabrać i sprzedać może. Mamy pięć krów, sześć koni...

— Ach, na tak małą sumę wystarczą te sprzęty.

To tylko forma. Jestem pewien, że pan gotówkę do tygodnia, t. j. do licytacji, zdobędzie.

Niedobitowski milczał. Urzędnik rozłożył papiery, wprawmem okiem obejrzał pokój i zaczął pisać.

— Chodźmy! — rzekła Niedobitowska do doktora.

Przeszli około ruin domu, zagłębili się w sad kwitnący i usiedli na głazie w starej, grabowej altanie. Wokoło była orgja życia i odrodzenia: w śnieżnej masie kwiecia, w śpiewie radosnym ptaków, w błękicie nieba, w powietrzu, przesiąkniętym wonią pąków.

— Cudna wiosna! — bąknął doktor, mając gardło ściśnięte i jakiś ucisk w piersiach.

Ale Niedobitowska patrzyła przed siebie oczami, w których malowała się jakby zgroza.

— Za co i dla czego myśmy skazani na zgubę? — zawołała wreszcie.

— Jakto? Kto? Państwo?

— My tu wszyscy — Polacy — tu od wieków osiedli. Całą moskiewską niewolę przetrwaliśmy. Dwa powstania, rewolucję w 1905, wielką wojnę, bolszewików — wszystko! Żeby się tego doczekać!

— Czasy są trudne, ale nie trzeba tracić nadziei. Przeżywamy kryzys materialny bardzo ciężki — ale...

Niedobitowska zwróciła swe zgaszone oczy na doktora.

— Nie o tem mowa, nie to nas gnębi. Przywykliśmy do nędzy i niedostatku. Dzieci niema za co uczyć — żyjemy w tej jamie, nie mamy na gazetę, na książkę, na lekarstwo, nie mamy służby osobistej, żadnej rozrywki, wytchnienia, święta. Ale to wszystko głupstwo. Może nawet lepiej zapracować się fizycznie do stanu roboczego bydlęcia — żeby nie myśleć o tej nienawiści, która nas otacza.

— Chłopów?

— Nie — polskiej administracji! — szepnęła.

— Co pani mówi! To być nie może!

Obejrzała się na kroki.

— Pojechał już? — spytała męża.

Skinął głową.

— Ciekawam, kto się zjawi jutro!

— Znajdzie się! — odparł filozoficznie Niedobitowski.

— Pójdę do kuchni i zwolnię Maniusię! — rzekła Niedobitowska, powstając.

Przyjaciele zostali. Poczęstował doktór cygarem gospodarza i ze współczuciem nań spojrział.

— Nie miałem pojęcia, co się tu u was i z wami dzieje!

— Tak. Podobno w Warszawie są jakieś Towarzystwa Opieki nad Kresami, jacyś Przyjaciele Polesia itp. Podobno, że nawet bywają jakieś delegacje, odwiedziny, zjazdy — ale zwykle w starostwie, w mieście powiatowem. Bywają dla nich rauty, przyjęcia, uczty, mowy i widzą i słyszą to tylko, co im przedstawią urzędy. A naprawdę nikt w Warszawie nie wie, co się u nas dzieje i nas, Polaków tutejszych nikt nie zna. Kiedyś, gdy tu przyjdzie kataklizm — bardzo się zdziwią, owi opiekunowie i przyjaciele. Wybory ostatnie mogły wstrząsnąć opinią i dać do myślenia tamtejszym wpływowym ludziom — ale myślą o czem innem widocznie — i nic się nie zmieniło. Aleś ty pewnie zmęczony podróżą? Możebyś się przespał?

Zgodził się doktor, czując, że go ogarnia jakieś bardziej moralne, niż fizyczne zmęczenie, ale gdy się znalazł w swej izdebce, długo zasnąć nie mógł, ani pozbyć z pamięci zgaszonych oczu Niedobitowskiej.

Zbudziło go wreszcie dyskretnie pukanie do drzwi i głos Wacka.

— Pora na ciąg, proszę pana.

Zerwał się, wypakował strzelbę i po chwili wyszli za dwór na łąki; po dłuższem brodzeniu zajęli obrane przez chłopaka stanowisko i znieruchomieli w oczekiwaniu.

W powietrzu wrzało od głosów różnych, i wreszcie Wacek szepnął:

— Krzyżówki!

Strzał padł i padły w wodę dwa ptaki.

Znowu cisza, znowu świst, kwakanie, znowu strzał, pluśnięcie. Aż ściemniało zupełnie i Wacek rzekł:

— Udało się — siedem sztuk. Zaraz je zbieram. Świetną ma pan doktor dubeltówkę.

Odrobina życia i wesołości zagrała na twarzy chłopaka, a gdy wracali, opowiadał:

— Ja z Maniusią umiemy sidła stawiać. Nauczyłem się — w braku strzelby. Tej zimy złowiłem kunę w żelazo — i trzy lisy na trutki. Mogłem kupić okazjnie fuzję u chłopca, ale ojciec nie pozwolił, bo, powiada: chłop ci sprzeda, a potem do policji doniesie, i doczekamy się rewizji. Dosić i tak triumfu chłopskiego nad nami. Teraz myślę zrobić łuk. Przecie dzicy ludzie z tem polują. I cicha broń — to grunt.

Wrócili na kolację, przy której cała rodzina ledwie miała siłę na parę słów rozmowy, — tak byli zmęczeni pracowitym dniem.

— Jednakże nie dorównamy nigdy chłopom, — rzekł Nadobitowski, odprowadzając doktora na spoczynek, oni jeszcze mają siłę całą noc paść

konie po szkodach, albo jechać kraść drzewo z lasu — a my padamy i zasypiamy jak drewna. Lękam się, że nie sprostamy nowym życia warunkom. — I śmiał się, odchodząc.

Nazajutrz spożył doktor samotnie śniadanie, bo wszyscy byli przy pracy. Niedobitowska gotowała obiad dla rodziny i czeladzi, Maniusia z dziewczką obrabiała zagony na warzywa, chłopcy byli w polu, Niedobitowski z chłopem najętym przenosili kartofle z kopca do piwnicy. Gość miał do wyboru, albo im przeszkadzać, albo iść ze strzelbą w pole. Wymknął się tedy doktor na przechadzkę, ale nie mógł się nawet w położeniu pól rozeznąć, tak były zarosłe brzeźniakiem, wśród którego małe szmatki tylko były uprawne. Cztery chude szkapy bronowały, ledwie się wlokąc po roli, a przy nich na miedzy siedział Kazik, ciskając kamieniami na gawrony.

— Czekaj, zaraz ich nie będzie! — rzekł doktor, podnosząc strzelbę do twarzy.

Gdy czarne ptactwo zerwało się z wrzaskiem i odleciało, doktor rzekł z uśmiechem:

— Tak wasze strapienia odlecą, zobaczysz!

Młody popatrzał na czarną chmarę, krążącą po niebie i odparł:

— Zaraz wróca. Jest tego parę milionów, a żeru mało tu na kresach. Prędzej się nasze

siewne ziarno wyczerpie. A zresztą tych, co by mieli broń, wśród nas niema.

— Ależ, Kaziu, byłeś ochotnikiem, odparłeś bolszewików — i nie masz wiary w Polskę!

— Ci bolszewicy, cośmy odparli, mniej straszni niż ci, co zostali i zostaną. Ci zniszczą Polskę.

— Chłopcze, nie godzi się mówić tak wam, młodym.

— To też milczę. Milczymy wszyscy, nawet matka. — Czy pan widzi, co się z niej zrobiło?

Tu spojrzał na drogę ze wsi, opodal leżącej i rzekł:

— Sołtys już idzie do dworu z papierkiem. Jakiś znowu nakaz płatniczy, lub cyrkularz. — A gawrony już znowu wracają na żer.

Palnął jeszcze parę razy duktór, a wreszcie ręką machnął i poszedł ku lasom, czerniejącym na horyzoncie.

Wrócił dopiero na obiad i spotkał Niedobitowskiego z żydem nad kopcami kartoflanemi.

— No, zbogaciejesz! — rzekł, gdy szli ku domowi.

— To nasienne. Chciałem więcej zasadzić w tym roku. Wydarłem szmat nowin. Ale na podatki muszę połowę sprzedać — i chyba może żytem nowiny zasieję — jesienią.

— A czegoż sołtys chciał?

— Przyniósł nakaz płatniczy na zasadniczy podatek.

— Co to takiego?

— Podatek od inwentarzy, co w sumie z wczorajszym, stokrotnym gruntowym — połknie kartofle. Niema sposobu się dźwignąć.

Przy obiedzie Niedobitowska siliła się na rozmowę, a doktor czuł, jak daleka była od tematu teatru, książek i życia stolicy.

Widok spalonego lasu, który pamiętał w całej krasie i bujności zgnębił go też, i pomyślał, że wikt tego domu może go wprawdzie schudzić o parę funtów, ale nastrój domowy może mu stanowczo zaszkodzić na wątrobę.

Nazajutrz na spacerze w stronę wsi spotkał znowu sołtysa i poznał nawet chłopą, który przed wojną często z nim chodził na cietrzewie. Chłop go też poznał i przywitał.

— Pan doktor moją żonę wyleczył z gorączki — pamięta pan doktor?

— Pamiętam — i te cietrzewie cośmy strzelali.

— Niema cietrzewi i żonki niema. Pomarła w Rosji.

— A jakże wam teraz?

— At — odbudowalim się już — trochę bydła już jest. — Czuł doktor, że chłop mu nie powie, co myśli.

— Do dworu idziecie?

— A tak — prawie codzień gonią z gminy. Teraz dwory z gminą jedno — równość.

— Znowu podatek?

— Nie, to o zboże na stójkę. Na dwór wypadło sto ośmdziesiąt pudów.

— Jakto? Za te sześć koni?

— Nie, rada gminna naznaczyła zsypkę od dziesięciny.

Twarz chłopca — rusina gdy to mówił, była niezbadana w swej masce głupowato chytrej, ale doktor w tonie odczuł jakby triumf. Pożegnał chłopca i wałęsał się dalej, po zamokłych łąkach, na których pamiętał stada bydła, a teraz spotkał tylko kilkanaście sztuk różnomestnych cieląt i kilka krów — a gdy wreszcie zmęczony ku dworowi zawrócił — wydało mu się to stare polskie osiedle, straconą placówką, ruiną bastjonu kresowego, grobem tradycji i kultury wielowiekowej i odczuł wielki żal i złość dla tych ostatnich strażników, a zarazem bezsilność — by w nich wlać otuchę — wobec nowych prądów, praw i uchwał. Jednakże, gdy się znalazł sam na sam z Niedobitowskim po obiedzie na głazie w grabowej altanie, rzekł:

— Słuchaj stary druha. Mam mieszkanie czteropokojowe i praktykę solidną. Jestem zaka-

mieniały stary kawaler i sybaryta. Ale czasami nudzi mi się w pustych ścianach. Daj mi którego z chłopców. Niech Kazio idzie na medycynę. Nie wolno ci przyszłości dzieci narażać, ani ich tu trzymać.

— Na tej dziurawej szkucie, która tonie!

— Nie. Kto tak, jak wy żyje i pracuje, ten przetrwa najgorsze. Wam tu zostać można i trzeba, ale dzieciom musicie dać wychowanie.

— To jest: twoją łaską i ofiarą.

— Mój drogi, są skrupuły, których trzeba się wyzbyc. Rozumiem, że dla was to będzie stokroć cięższe przyjąć, niż mnie ofiarować. Ale jesteśmy w walce o tak potężne i wielkie rzeczy, że musimy się skupić, by się utrzymać. Musisz mi Kazika dać.

— Spytaam jego i żony, — szepnął Niedobitowski.

— Spytaj. O ile znam twą żonę — zrozumie. Zabawię jeszcze parę dni i chcę wrócić z chłopcem.

Niedobitowski przeszedł ręką po czole.

— Ciężko! — stęknął.

— Nie dać się! Toć wasze hasło.

— Tutejszych Niedobitowskich.

Obejrzał się na nadchodzącą żonę.

— Zosiu — rzekł — Kulesza chce zabrać do siebie Kazika na mieszkanie i wikt, żeby chodził na uniwersytet.

Spojrzała na doktora, krew jej zabarwiła twarz chwilę,*jakby ją zdławiło wrażenie.

Wreszcie wyciągnęła do doktora ręce.

— Za życie i duszę chłopca dziękuję! — wyjąkała. — Młodym tu nie bytować — jeśli mają życie przeżyć. My starzy wytrzymamy — oni byliby straceni. Niech choć jeden się uratuje.

— Nie damy i tamtych! — zawołał uradowany doktor.

Pozostali, gwarząc poufnie, szczerze, a cicho, żeby nikt obcy nie podsłuchał tego, co było bólem i wstydem, aż się wreszcie Niedobitowska zerwała przerażona.

— Tyle czasu zeszło, a chleb dziś piekę i buraki trzeba sadzić.

I poszła do swego przyziemnego, czarnego trudu.

Mężczyźni gwarzyli dalej, aż usłyszeli z za altany dwa głosy, rozmawiające po rusińsku i umilkli, słuchając.

— Iwanie, — mówił głos żydowski, — na jutro mi trzeba trzydzieści furmanek do kartofli.

— Toście kupili u pana! A nie chciał sprzedać, chował na nasienie.

— Chował! — zaśmiał się żyd, — on do jesieni jeszcze i krowy sprzeda.

— I żyta nie posieje! Sto ośmdziesiąt pudów, musi dać na stójkę. Co mu się zostanie! Mniej, jak u mnie.

— Na przyszły rok odda Zalesie mnie w posesję.

— To wtedy warujcie sobie paszę w lesie — chłopci dobrze zapłacą, bo po młodniskach dobre trawy. A toć i w domu sprzęty mu opisali.

— Taki dwór, taki pan — i zszedł na kapcana.

— Ano — zaśmiał się chłop. — Polski rząd! Toć tej Polszy tak czekali, wyglądali, miatieże przeciw caru robili — na Sybir szli. Najgorsze buntowszczyki byli — nu doczekali się swojej Polszy. Niechże ich teraz rżnie!

— Za dziesięć lat i jeden z nich nie ostanie.

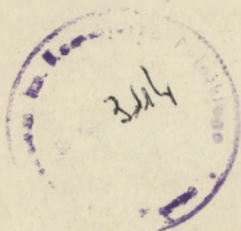
— Będzie ziemi dla nas dosyć!

— A dla nas lasu! Polaki sami się zjedzą.

Przeszli. Niedobitowski położył rękę na ramieniu doktora.

— Pytałeś mnie, co nie jest głupstwem — wśród tych utrapień i biedy! Ot — to — wstyd — wobec pogardy i triumfu — tych tam!

NIEDOBITOWSCY PŁACĄ.



Komu kolej na Mszę? — spytał Niedobitowski przy sobotniej kolacji.

— Ja, tatusiu! — zawołała Manusia.

— A możebyś i ty pojechał? — zaproponował Niedobitowski doktorowi Kuleszy. Wprawdzie ekwipaż, to wóz, a konie bez owsa, ale to niedaleko, mała milka i droga sucha, Spotkałbyś po kościele znajomych dawnych.

— Jadę! — zawoła doktor z zapalem.

Nazajutrz zajechał tedy przed oficynkę mieszkalną wóz, mający na sobie ślady niedawnego transportu nawozu, zaprzężony w parę ostrokościastych koni, którym z pyska sterczały jeszcze resztki siana i których uprząż była zbieraniną sznurków i surowca mało co z szerści ogolonego.

Na słomę, stanowiącą siedzenie, Manusia rozpostarła samodzielową derę, służącą któremuś z chłopców za koldrę, doktor wgramolił się niezdarne po kole, przez drabinę, miejscowi dużo zwinniej wskutek wprawy, i zaprząg ruszył wśród pożegnalnego szczekania psów.

Powozący Niedobitowski odświętnie był przeobrażony, bo i ogolony i ubrany w palto, z niegdyś aksamitnym kołnierzem, i kapelusz niegdyś czarny; Manusia też paradowała w prawie nowym płaszczyku i kapeluszu płóciennym — domowej fabrykacji.

— Panna Manusia bardzo elegancka! — pochwalił doktor.

— Dostałam od cioci Kaduni, a kapelusz manusia sama zrobiła!

— Pamiętasz mego brata Marjana, co się nie ożenił i gospodarzy z siostrą Leokadją? Tym się lepiej udało, bo dwór nie spalony! — objaśnił Niedobitowski.

— A reszta twego rodzeństwa?

— Jana i Erazma zobaczysz w kościele, i siostry, co za dwoma Twardowskimi — no i bratanek po stryju, Józef, co się ożenił ze Skołobjanką. Cała parafja Niedobitowskich! — zaśmiał się.

— Ocaleli wszyscy?

— Ano, dotychczas jeszcze trwają po swych gniazdach. Ale to do czasu. Karczują nas, jak ot ten las. — Wskazał batem szmat pni i zarośli, który mijali, utykając po korzeniach.

— To Polanów — Moskala. Sprzedał — parcelują. Kiedyś Polanowscy zapuścili na las, bo piachy i bagna. Skonfiskowano w 63 — dostał

generał Sołodurow. Żył z tego lasu do wojny, a teraz chłopci na futory rozebrali.

— Egiptu z tego nie uczynią — rzekł doktor.

— Mniej więcej będzie to samo z naszymi obszarami. Bywa tego po parę, lub kilka tysięcy dziesięcin — powód zawiści i żądy parcelacyjnych. Ale to tylko pozór magnackich latyfundiów. Jak się potrąci — bagna, lasy po piaskach, błotne, grzązkie łąki — góry piaszczyste — resztą mało amatorów się obdzieli. W masie, przy naszym skromnem życiu i małych potrzebach, to jakoś się trzymało, ale jak się rozdrobi, będzie nędza i niewiem, jak wydrą podatki. Boć jak nie stanie obszarników, trzeba będzie ulgi dla małych rolnych skasować i opodatkować osadników. Zresztą, co się mamy tem kłopotać. Nas już wtedy tu nie będzie!

Wyjechali na szeroki stary trakt pocztowy, sadzony niegdyś w cztery rzędy brzoź, z których niektóre dotąd dogorywały i nagle Manusia roześmiała się radośnie, wskazując na postać ciemniejącą na ścieżce.

— Tatusiu, stryj Erazm idzie na Mszę!

Zamruczał coś Niedobitowski, patrząc w przeciwną stronę, na jakieś błotniste haszcze, ale doktor się zaciekawił.

— Co? wrócił pan Erazm z Francji?

— O już dawno i objął swoje Daremne. Spalili mu folwark kozacy przy cofaniu Rosjan, a uchodźcy pokradli inwentarz. Niema nic!

— A humor, ten nieoceniony jego humor?

— Humor został, tylko się zmienił na niedający się spolszczyć: Galgenhumor.

Popędził szkapy i dopędzili pieszego wędrowca.

— Stryju, proszę siadać! — wołała Maniusia.

— Kiedy mi się spieszy! — odparł, ale spojrzał na wóz i roześmiał się.

— Dalibóg, doktor Kułesza. Nie wiedziałem, że doktor urządza wyprawy w dzikie kraje. Czy to badania antropologiczne, czy zoologiczne?

— Łowieckie tylko! — odparł, śmiejąc się doktor.

Pan Erazm przysiadł na drabinie.

— Tedy proszę do siebie. Wspaniałe mam okazy szczurów i myszy, a tak głodne i osłabione, że wyglądają naglej śmierci, jak wyzwolenia. Inną zwierzynę wyniszczyli dawno Niemcy i chłopci.

Tu się zwrócił do brata i spytał:

— Miałeś sekwestratora?

— Miałem, a ty?

— Miałem. Traktowałem go poduszką, kołdrą, nawet cegłą z pieca, który latem niepotrzebny.

Obrażony wyjechał, grożąc, że wystawia całe Daremne na sprzedaż. Powiedziałem, jak ogromnie się cieszę, że mnie z tej służby uwolnią i prosiłem o posadę woźnego w Sejmiku. A u ciebie co zabrał?

— Sprzedałem połowę nasiennych kartofli i zapłacę.

— Jan sprzedał trzy krowy. Kobiety po nich tak płaczą, że aż u mnie słyhać.

Na twarzy jego ostrej i chudej pogłębił się jeszcze grymas szyderstwa i pociemniała blizna, idąca od brwi do ucha.

— Ale widzę, że pan też wojny kosztował? — rzekł doktor.

— A jakże. Gdzieżby się podziały szlacheckie tradycje. Siedziałem spokojnie w Paryżu, w gazecie. Miałem z ilustracji chleb, mięso i absynt, gdy wojna wybuchła, no i poszedłem z drugimi do Bajonny. Zmasakrowali nas, jak wiecie, duch się przytaił jakimś cudem — byłem posiekany, jak cielęcy kotlet. Wylizawszy się — zamiast wrócić do ołówka, uparłem się: do kraju. Ano — pięknie — zawieźli nas do Rosji i tu się jakoś dowlekłem. Jestem tedy polskim obywatelem, obszarnikiem na Daremnem, a co najważniejsze — najmocniej stojącym finansowo, bo — nic nie mam — i nic mi nie zabiorą.

— Popędzaj! — zwrócił się do brata — bo mi nogi ścierpły, ile że przywykły do ruchu, a nie do ekwipaży

— Że też pana nie ciągnie z powrotem do Paryża?

— Ciągnie, bardzo ciągnie. Zarysowałem już wszystkie ściany wewnątrz i zewnątrz swego pałacu, ale do Paryża na piechotę za daleko, a na inną peregrynację nie mam gotówki. Zresztą moi bracia bezemnie do resztyby skapcanieli. Noblesse oblige — trzeba zginąć z honorem i z humorem!

— A oto i parafja Niedobitowskich.

Wskazał na grupkę domostw drewnianych, osadę, na wstępie której przy trakcie wznosił się kościół murowany w bardzo niezwykłym stanie.

Do połowy mury ze śladami pożaru i ospowate od kul, były pokryte dachem słomianym, resztę murów zdobiły liczne gniazda bocianie, z których najokazalsze stanowiło pokrycie dzwonnicy. Resztki muru odgrodzienia nie broniły wejścia krowom i nierogaciźnie, odwiedzającym pilnie szeregi grobów niemieckich żołnierzy, zapelniających w regularnych linjach cmentarz.

Przy gościńcu i murze stały ekwipaże parafjan. Były to przeważnie wozy i dryndulki, koślawe, stare, zużyte, ze słomianem siedzeniem, z uprzężą

parcianą i końmi dobranemi starannie pod względem chudości i wszelakich defektów.

Ludzie zebrani w gromadkę, lub rozproszeni po cmentarzu, gawędząc, czekali na dzwon.

Powitano nowoprzybyłych i otoczono wnet doktora Kuleszę. Ledwie poznawał dawnych przyjaciół. Byli zestarzeni, zaniedbani w ubiorze, z twarzami o jakiejś tępej bierności. Młodzież nawet była cicha i zgaszona. Pan Erazm wnet ogarnął rozmowę.

— Byłem we czwartek w Sejmiku, — rzekł, — i dowiedziałem się, że pan Pyffke wymyślił nowy podatek.

Ożywiły się twarze przerażeniem.

— Znowu, to już szósty od nowego roku.

— Podatek od narzędzi rozkoszy.

— Cooo? Bajesz! — burknął któryś z braci, ale żaden się nie uśmiechnął, z wyjątkiem doktora.

— Wcale nie baję. Do narzędzi rozkoszy pan Pyffke zalicza między innemi: fortepjan, powóz i wszelkie ekwipaże na resorach, rower, gramofon.

— Powinien dodać pierzynę, poduszkę, buty i metalową łyżkę, bo tamtych w całym powiecie nie znajdzie.

— Jakto nie, Józef zapłaci za to siedzenie — i wskazał na obok stojący ekwipaż, w którym na

drabinach było przytwierdzone siedzenie na sprężynach, pozostałości po bryczce.

— To dlaczegoś sejmik kupił dla siebie niedawno resorową bryczkę? — ktoś warknął.

— Chcesz, żeby ich ekscelencje Pyffke i Pudelskiewicz jeździli wozem, jak ty, przekłety obszarniku. Pozatem pan Pyffke pracuje nad statutem. Wiślicki, Litewski itp., to przeżytki. Pan Pyffke wyda lada dzień statut — o podatku od psów. Zapłacicie burżuje za wasze skowyrki, co przeszkadzają pracowitemu ludowi skosztować waszych gruszek po sadach.

W tej chwili dzwon się rozkołysał i zabrzmiał.

Bocian rozłożył skrzydła, ale się rozmyślił i pozostał za przykładem innych, garnirujących mury kościelne. Parafjanie ruszyli na mszę.

— Dlaczego nie wziąłem aparatu fotograficznego — stęknął doktor Kulesza. — Ten kościół przechodzi wszystko, co można sobie wyobrazić.

— Przecie jest Odbudowa Kraju!

— Jest, ale ma robotę z odbudową wsi. Złożyliśmy wiele podań i swojemi siłami pokryliśmy dach nad ołtarzem. W tym roku już nie mamy środków — odparł apatycznie Niedobitowski. W kościele jako tako sklecony był ołtarz i połatana podłoga. Nieobecne organy zastępował klekot bocianów, a w końcu nabożeństwa chropowate

głosy, śpiewające: Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami. Było coś wstrząsającego w tym głosie garstki pozostałych Polaków, co doczekali się na tych rubieżach wskrzeszenia Ojczyzny.

— Teraz kolej na wymyślanie! — szepnął pan Erazm, gdy ksiądz, zdąwszy ornat, wrócił do ołtarza. Jakoż na głowy zbiedzonych parafjan spadły gromy za nieogrodzony cmentarz, za niepokryty kościół, za spa'oną księżą stodołę, za brak drew i żerdzi, wapna i cegły.

Słuchali wszyscy cierpliwie i z rezygnacją bezradności i wyszli, złożyłwszy do skarbony garście pomiętych asygnat, a za drzwiami każdy ciężko dźwignął ramiona.

Skupili się znowu przy swych zaprzęgach i gwarzyli jeszcze, radzi porozumieć się w gromadzie, zanim się rozpierchną na cały tydzień do swych ciężkich robót.

— Zap'aciłeś? — rozległo się prawie ze wszystkich ust.

Odpowiedzi były zato rozmaite.

— Po owę dałem! Sprzedałem dwa woły! Wziąłem zadatek na paszę! Trzeba będzie zasiał mn e j owsa — nasienie sprzedać! Może dostanę pożyczkę! Icek żąda 10 proc. miesięcznie. Dają mi dziesięć miljonów za sad, ale to zarżnięcie.

A co masz na majątkowy? Ile ci naznaczyli dochodowego? Wczoraj przynieśli nakaz płatniczy na podatek zasadniczy. Co to znowu? To za bydło. A stójka? U nas po 7 funtów od dziesięciny! Jezus, Marja, toć ja tyle nie mam w spichrze!

A w tem na gościńcu ukazała się nowa, żółta bryczka resorowa, zaprzężona w parę tłustych koni.

— Narzędzie rozkoszy! — zaśmiał się pan Erazm. — Ba, toć panowie Pyffke i Pudelkiewicz we własnych wielmożnych osobach.

Stał przy drodze i gdy bryczka go mijala, zdjął czapkę i potrząsnął ją w powietrzu.

— Morituri te salutant Caesar! — krzyknął.

Dwóch eleganckich panów sięgnęło do kapelusza i zapewne nie zrozumiawszy okrzyku, ukłoniło się uprzejmie.

Z gromadki pogonił za bryczką śmiech.

— Oszalałeś! — burknął Marjan Niedobitowski do brata. — Oni będą się mścić!

— Aha! A ty się boisz, bo ci dwór stoi i w nim stare mahonie, a w oborach bydło! Mają co u ciebie brać, burżuju! Bądź spokojny, jeszcze parę lat, a zostaniesz, jak ja i staniesz się odważny.

— Panie doktorze, — rzekł Marjan Niedobitowski, — niech mu pan co zapisze na zółć.

— Mnie? A tobie to się nie zda?

— Ja cierpię i milczę. Przetrwaliśmy Moskali, Niemców, może i to przetrwamy. My z twardego drzewa jesteśmy.

— A komuż to potrzebne, żebyście przetrwali? Komu o to chodzi, kto ci to zaleca i pochwała? Spytaj się doktora, czy ta Warszawa — Macierz, co nas krzepiła i uczyła w dniach niewoli, wie co o nas teraz, myśli i pamięta, żeśmy tu dotrwali, na jej naukę i przykład! Czy doktor miał pojęcie, co się u nas dzieje i w jakim jesteśmy stanie?

— Nie, nie miałem pojęcia! — rzekł doktor, obejmując wzrokiem kościół i ludzi.

— My sami ani się opamiętać, ani zrozumieć nie możemy zaco i dlaczego strącono nas w tę ruinę moralną i materjalną, nas, od wieków tu osiadłych Polaków. Przed wojną były tu trzy narodowości: my, chłop Rusin i urzędnik Rosjanin. Zналиśmy się wszyscy ze sobą, zналиśmy się z chłopem, nie zналиśmy się z Rosjaninem. Dziś powstała Polska nowa. Dziś jest urzędnik Polak, nauczyciel Polak, poseł z polskiego Sejmu, policjant Polak, żołnierz Polak — i my. Wszyscy przyszli i trwają względem nas z nienawiścią, o jakiej pojęcia dotychczas nie mieliśmy.

— Mój drogi, — przerwał p. Erazm, — więc myślisz, że tamci ze sobą się kochają! Przecież cały świat jest jedną orgją nienawiści. Trzeba

się nauczyć w tem żyć i pogrzebać stare ideały.
Polska nowa nas nie potrzebuje.

— Ale bez nas — nie ostaną te strony przy
Rzeczypospolitej.

— Co tam! Zostanie Warszawa i Saska Kępa
— to grunt. No — jazda. Nabiadaliście dosyć na
ten tydzień. Do jarzma, woły robocze i do po-
datków, obywatele!

Zaczęto się żegnać, rozchodzić do wozów —
i po chwili ekwipaż z Zalesia znalazł się na trakcie.
Mijali różne furki lub pieszych, ale nikt się nie
pozdrowiał.

— To nowa Polska! — powiedział pan Erazm. —
Nauczyciel z miasteczka, kierownik poczty z mał-
żonką, to trzech osadników z Rudni, to sekretarz
z gminy, to weterynarz rządowy.

— Bardzo elegancko wszystko wygląda.

— Jest ślad naszych podatków, nieprawdaż?
Poubieraliśmy ich wedle ostatniej mody.

— Jedno pewne, że bucików i przyodziewku nam
już nie mogą pozazdrościć. Ale te tysiące naszych
dziesięcin nie dają im spokoju! Jakże im serde-
cznie życzę, by każdy miał na własność takie
moje Daremne! Doktorze, wstąpcie, proszę.

Doktór obejrzał się na Niedobitowskiego,
a ten ramionami ruszył.

— A można tam przez twą grobelkę przejechać?

— Grobelką nie, ale brodami już wóz zgruntuje.

— Stryj może co nowego narysował? — zawołała Manusia.

— Są portrety panów Pyffke i Pudelkiewicza na ścianie od wjazdu.

— Ach, tatusiu, jedźmy!

Niedobitowski skręcił z gościńca w ledwie widoczny ślad drogi w zbitej gęstwie łozy, a pan Erazm tłumaczył:

— Tu były niegdyś łąki, ale dziesięć lat nie były koszone, i teraz mogą dostarczyć faszyny do stu wodnych młynów i łyka na łapcie dla miliona chłopów. Posiadam tego 700 dziesięcin i mam płacić jako za łąki wszystkie podatki państwowe i samorządowe.

Wóz wy dostał się z łoż i wygramolił na ogromną przestrzeń żółtych piasków, porośłych zrzadka krzakami jałowca i karłowatą, pełzającą po ziemi sośniną. Droga się wila wyszukując mniej głębokie piaski — zresztą były to tylko ślady przejazdu bardzo nielicznych wozów.

— To też moje złotodajne obszary i jest tego 500 dziesięciu, — zaśmiał się pan Erazm. — W tabelach podatkowych figurują jako zagajniki, ale drzewa, pomimo tego rozkazu władzy rosnać nie chcą. Odwiedzają to drozdy jesienią, a jemio-

łuszek zimą, bo jedyne owoce tej Chananejskiej ziemi, to jałowcowe jagody.

— Ciekawa konfiguracja tego kraju. Bagna i piaszczyste góry! — rzekł doktor.

— Musiały tu być za czasu mamutów morza czy jeziora olbrzymie, których fale wyrzucały te piaski. Potem torfowy mech pożarł jeziora, a jakieś warjaty osiadły na wydmach!

— Mój drogi, — poprawił brata Niedobitowski — to byli, p zeciwnie, bardzo mądrzy ludzie. Schowali się za te bagna i w swych niedostępnych komyszach, przetrwali wszystkie wędrówki narodów. Nie zdołali ich wyniszczyć ni Mongoły, ni Tatarzy — ni żadne hordy.

— Tej sztuki dokona Pyffke i Pudelkiewicz na wieczną swą chwałę i triumf, — zaśmiał się pan Erazm.

— Więksi od nich dadzą imię tej epoce i swej idei. Co mówić o naszej zgubie. To drobiazg, atom. Przecie giną tablice Dziesięciorga Przykazań i Katechizm, prawa stare, jak ludzkość. Przeżywamy nowy zmierzch Bogów — tylko bardzo sami mali — wielkości katechizmu nie ogarniamy. — Zamilkli, zamyśleni. Aż Maniusia zaszczębiotała jak skowronek.

— Jak tu pachnie miodem, co tu pszczoł na kotkach łożowych. U stryja ślicznie jest i teraz

i całe lato i jesienią, jak wrzosa kwitną. Pamiętastryj te grzyby w zeszłym roku?

— Oto i odpowiedź na nasze biadania. Zostaną przecie na ziemi istoty mądre i szczęśliwe, co będą pomimo wszystko żyć wedle zawsze niezmiennego prawa. Będą umierać bez trwogi i buntu, by zmartwychwstać ze słońcem. Będą wonieć i czary miodu podawać innym, co zgodne z prawem znosić będą ten miód do swego roju i dziupli — szczęśliwe pracą, której termin reguluje słońce, i będzie ziemia rodzić dla wszystkich tych, co się nigdy nie buntują. I oto jesteśmy w moim dworze!

Wóz stanął na wzgórku. Były ślady ludzkiego osiedla. Jakiś stary wał, na nim jakieś krzaki i szkielety topoli — za tem przestrzeń trawiasta, niegdyś sad, bo sterczało jeszcze kilkanaście starych grusz — kilka rumowisk po budynkach i wreszcie z boku w kącie chałupa w ziemię wrośnięta z dachem połatanym starą blachą.

Wysiedli. Niedobitowski wyprzągł konie i puścił je na trawę. Doktor się rozglądał, głową trzęsąc, Maniusia przypadła do fjołków na wale, a pan Erazm — szerokim rzutem ręki wskazał cały horyzont wkoło.

— Jestem burzuj, obszarnik na tem wszystkim — dobra Daremne: 1547 dziesięcin ziemi.

Przed wojną dzierżawił to odemnie brat Marjan — i trzymał tu stadninę. Były wtedy łąki, wypasy — siedem gospodarskich budynków, dom mieszkalny i wiatrak. Stadninę rozkradli uchodźcy — dwór i wiatrak spalili kozacy — jakim cudem została ta chałupa, nikt nie rozumie. Marjan rzetelny, urzędowo dopilnował szacunku strat w komisji powiatowej, i kiedym wrócił, wręczył mi dokument na 30 tysięcy rubli. Więc pełen dobrej myśli i zapału do wskrzeszonej ojczyzny, zacząłem odwiedzać polskie instytucje, pewien będąc pomocy. Aliści suma wojennych odszkodowań, przeszedłszy przez parę jeszcze komisyj, została zredukowana do 13 tysięcy, a wreszcie została tylko pamiątką, ile że w pokoju Ryskim Polska wspaniałomyślnie darowała biednej Bolszewji straty swych obywateli.

— Ano — trudno — gesty podobne znane są w polskiej historii — postąpiono w tym razie wedle tradycji szlacheckiej co zawsze jest bardzo ciekawe jako charakter narodowy, rządzących obecnie sfer.

— Zwróciłem się tedy do instytucji odbudowy kraju. Boże — ile było pisaniny, podań, protokółów, zeznań świadków — tego nikt nie zliczy — ale wreszcie szczęśliwie dobrnąłem do rezultatu — że odbudowa kraju służy tylko dla chłopów Ru-

sinów, którzy wyemigrowali w 15-ym roku za-
wojskiem do Rosji — przebyli tam epokę, gdy
było co grabić, a wreszcie wrócili stęsknieni za
ojczyzną. Ich tedy popalone przez kozaków wsie
— trzeba corychlej odbudować, opatrzyć ich w in-
wentarze, narzędzia, nasiona, odzież i żywność,
aby pokochali Polskę i przez wdzięczność stali się
przedmurzem Rzeczypospolitej przed groźbą naj-
ścia czerwonej Rosji. Tak doktorze, to Iwan
z Mikitą ma nas zastąpić i piersiami swemi
bronić kraju, stojąc przy sztandarze z białym
orłem i Częstochowską Królową. Ano — niech
i tak będzie! Zostałem tedy z dziesięciu palcami
i nadwerżoną głową — na tej pustce. Połata-
łem starą blachą dach i osiadłem. Marjan chciał
mi pomagać. Ofiarowywał sprzęty, narzędzia,
konia, krowę — podziękowałem, tylko prosił
o ciepły kąt na zimę, bo na bytowanie tu od
listopada do marca nie miałem zdrowia. Byli
tu zrazu urzędnicy z komisji osadniczej, chcieli
zabrać dwieście dziesięcin — ofiarowałem im
pięćset — ale dotąd amatora, co by tu osiadł nie-
ma. Byli inni, szukając zdobyczy wojennych,
zadeklarowałem blachę na dachu; zapisali i dotąd
jest pod sekwestrem. Byli opiekunowie przed
księgosuszem, ale nie mogłem im służyć do ob-
serwacji ani jednym bydlęciem. Byli komisarze

od lasów, szukający, czy nie znajdą daniny leśnej do wydobycia. Zlekceważyli mój jałowiec. Najczęściej bywają sekwestratorzy! Otóż w zeszłym roku trafiła mi się cudowna okazja. Jakiś żyd wynajął pastwiska na sto wołów. Ale zaledwie je przygnał, spadło na to stado trzech sekwestratorów. Żyd z wołami uciekł w nocy, omal nie zamknęto mnie do kozy — i moje finansowe projekta zrobiły klapę — jakbym był ministrem skarbu.

— Słuchajno! — zawołał Niedobitowski, — bajesz i bajesz — ale byłoby lepiej, żebyś nam dał co jeść.

— Ano, służę. Biesiada gotowa.

Manusia już ich była poprzedziła do chaty i komin dymił. Na drzwiach ujrzał doktor pierwszy obraz — nasmarowany kredą na zczerniałych deskach.

Było to Oko Opatrzności jakby ze starego Ryngrafu. Promienne oko w trójkącie i dwie dłonie sypiące ziarna.

— Gdy nie otrzymałem znikąd pomocy, oddałem Daremne w to ubezpieczenie! — rzekł gospodarz.

Chata składała się tylko z wielkiej sieni i jednej izby.

W sieni leżały drwa, kupa kartofli — jakieś narzędzia, kosze na rybę — w izbie najwięcej miejsca zajmował niezdarny, a olbrzymi pięc chlebowy i komin — oraz leżak, sięgający do połowy stancji.

W kącie było posłanie, tj. rama płócienna, rozpięta na czterech słupkach, wbitych w tok stanowiący podłogę. Takież stół i ława zajmowały ścianę pod okienkami, pozatem była półka, a na niej toaletowe drobiazgi, wiadro z wodą, miednica i ręcznik na kołku, pod posłaniem skrzynka, na posłaniu wielka poduszka i samodziółowa dera, a nad tem przypięta do białej ściany Legja honorowa. Ściany pokrywała istna orgja rysunków kredą i węglem kreślonych z wielkim talentem i rozmachem.

Doktór je oglądał, głową trząsł, zachwycił się, śmiał się z conceptów i karykatur, a Niedobitowski stanął nad dekoracją widocznie ostatnią. Były to jakby tablice przykazań, które miast Mojżesza trzymały dwie postacie nowożytnie.

— Pyffke i Pudelkiewicz — jak żywi zaśmiał się Niedobitowski.

Na tablicach było napisane: 1. Podatek majątkowy. 2. Podatek dochodowy. 3. Podatek gruntowy. 4. Podatek komunalny. 5. Podatek progresyjny. 6. Podatek zasadniczy. 7. Podatek

samoistny. 8. Podatek mieszkaniowy. 9. Podatek obrotowy. 10. Podatek drogowy.

— Toć jeszcze nie koniec, — poprawił Niedobitowski.

— Nie starczyło miejsca na ścianie! Proszę do stołu.

Manusia już zarządziła posiłek. Była wędlina, herbata i kartofle pieczone, i bukiecik fjołków na środku stołu, a najlepszy głód po tylogodzinnej wędrówce.

— Jestem na utrzymaniu siostry Leokadii.

Z początku chciałem sam trochę orać i siać, ale bez budynków było to niemożliwe, a kapitał mój składał się z zegarka i rodowego sygnetu. Najgorsze, że tu wróciłem, a raczej najgorsze, że nie zginąłem z innymi Bajończykami.

— Ale wreszcie co dalej będzie? — stęknął doktor.

Zapanowało długie milczenie.

— Nie wiecie? — spytał doktor.

— Nie chce się patrzeć śmierci w oczy! — odparł swym głuchym głosem Niedobitowski. — Chcą, żebyśmy tylko płacili — więc płacimy. Ale poza fortuną i ziemią, którą trzeba będzie dać — zostanie jeszcze życie i byt Państwa tutaj. I straszno rzecz — o tę śmierć chodzi i nawyknięciem tylu pokoleń w krwi mamy przywiązanie do tych stron

— a nie wierzymy już, by mogły ostać przy Macierzy.

— A bez tej wiary — co warta nasza praca i tak gorzki trud!

— Przeżywamy Zmierzch Bogów! — mruknął pan Erazm. Nie pierwszy i nie ostatni.

— Ale my tu — już ostatni. Dzieci już się męczyć nie będą — jak tyle pokoleń, co tu były: *glebae adscripte*.

SPRAWA JEDNORURKI NR. 3080

W roku Pańskim 1863 lokajczyk dworski, który z paniczem poszedł w lasy, wykradłszy się łozami po rozbiciu partji, cisnął dworską jednorurkę w pokrzywy za starą lodownię, a sam przyczaił się na strychu, zanim gorączka śledztw i aresztowań minęła. Panicz poszedł na Sybir, dwór ocalał, bo żyła w nim i rządziła „stara pani.” Lokajczyk jednorurkę wydobył z pokrzyw, oczyścił ze rdzy, i odniósł starej pani. Schowana zrazu za jakąś szafą — służyła następnie coraz śmielej — na gapy przy siewach na polu, na wałęsające się wściekle i niewściekle psy, a czasem nawet na zajączka w ogrodzie. Była jedyną bronią dworską, przeciwko której nie protestował żaden rosyjski, wszechwładny uradnik.

Lokajczyk wyrósł, ożenił się, awansował na gajowego, chował w leśniczówce gromadę dzieci. Do dworu, po jakiejś amnestji wrócił panicz, ożenił się, pochował matkę, potem sam zmarł, zostawiając na straży ziemi, domu, i wszelkiego ruchomego dobra córkę. Rusznica trwała zawsze za szafą.

„Panienska” wyszła za mąż i owdowiała, dwór, nękany przez Moskali, przetrwał jednak wszystkie napaści i doszło do Wielkiej Wojny. Parę kobiet tylko zostało na straży tej polskiej placówki na wschodnich kresach; wdowa, jakaś kuzynka, jakieś dziewczątko — ot zbieranina słabości, biedy, sieroctwa, żywioł najodporniejszy na wszelkie klęski.

Przetrwała też rusznica. Przy którejś, może setnej rewizji, Niemiec ją wydobyl z za szafy — obejrzał, pokazał lejtnantowi — obadwa zalegali się od śmiechu — i oddali dziedzicze, gdyż była do muzeum za mało ciekawa. I służyła dalej — na złodziei, psy i włóczęgi. — Niemcy dostarczali śrutu, prochu i pistonów i niekiedy sami z niej strzelali — na żart.

Po klęsce niemieckiej, na kraj ten graniczny, bezbronny, napadły hordy różnie zwane: „sinożupańce,” Petlurcy, Ukraińcy, dzicz apaszów czy gorylów, grabiąca, łupiąca, mordująca, — przednia straż bolszewików. Jednym z wielu cudów Opatrzności został dwór, chociaż doszczętnie obrabowany, i garstka mieszkańców przy życiu. Jakiś goryl, z czerwoną kokardą na zdartej z trupa sukmanie, znalazł rusznicę, chciał z niej zastrzelić dziedziczkę, ale że była nienabita, więc cisnął na ziemię, a kobieta tymczasem uciekła i ukryła pod żłobem w stajni.

Nareszcie krajem zawładnęli Polacy i minęła groza śmierci. Do dworu przywłókł się i osiadł na stałe, krewny z Białorusi, wyzuty z mienia i skatowany przez bolszewików. Gdy oprzytomniał, pozdrowiał i wygnańczą rozpacz zmógł, zaczął wdowie w gospodarce pomagać i nadto, pewnego dnia, rusznicę oczyścił, nabił i zaczął ploszyć strzałami gapy na owsie. Żeby opisać kunszt i mękę, z jaką ocalono tę trochę nasienia, toby była druga historja, nie mająca zresztą z rusznicą nic wspólnego.

Po paru dniach strzałów, zjawilo się do dworu dwóch policjantów polskich.

— Ma pani broń w domu?

— Mam fuzję starą.

— A pozwolenie na broń i prawo polowania pani ma?

— Nie.

— Zatem skonfiskujemy broń.

— Proszę panów, gawrony doszczętnie tu wybiorą nasienie owsa.

— Nie nasza rzecz. Powinniśmy zrobić rewizję w domu i spisać protokół. Będzie pani miała karną sprawę.

Gromadka kobiet i stary Polak z Białorusi słuchali tego milcząc. Tylko oczy ich, wlepione

w srebrne orzelki na czapkach policjantów, były pełne wyrazu, aż wreszcie, w żrenicach tej kobiety powstańca zaszkliły się łzy — i bez słowa otworzyła przed polską władzą drzwi domu.

— Proszę — rewidujcie panowie, rzekła odchodząc. Policjanci jednakże zabrali tylko strzelbę, a na odchodnem rzekli łaskawie do starego:

— Żeby uniknąć sądu i kary, niech się pan zaraz zwróci do starostwa, i dostanie pozwolenie na broń, wraz z kartą łowiecką.

— Przecie panowie zabrali broń.

— Będzie dostawiona do starostwa, stamtąd ją pan z powrotem otrzyma.

Stary ruszył tedy do starostwa.

Mieściło się w Zebryniu i skład jego był następujący: Starosta: pan Fagot — suspendowany ksiądz z Galicji. Referent samorządowy pan Hilaręńko, dawny akcyznik rosyjski. Zastępca starosty: pan Boholubski — kapitan z armji Denikina. Sekretarz: pan Pawłowicz, dawny przystaw policyjny rosyjski. Biuralistki, strojne jak rajskie ptaszki, napełniały lokal zalotnym świergotem i zapachem perfum.

Pan Gintowt (tak się zwał petent o prawo używania rusznicy) złożył wszelkie wymagane podania, przedstawił fotografie, opłacił kosztą, przeszedł krzyżowy ogień pytań śledczych o swem

pochodzeniu, urodzeniu i czynach życiowych przez sześćdziesiąt lat wieku i został łaskawie uwolniony do domu, ale bez pozwolenia na broń. Minęło sześć tygodni: gapy pożarły owies, pies wściekły pokąsał dziecko, Gintowt dostał pałką od draba, co się włamał do lamusa, aż wreszcie przyszedł papier ze starostwa, żądający podania numeru i fabryki strzelby.

Ba, kiedy rusznica powstańcza, ku swemu własnemu zapewne zdumieniu i zgrozie, była w polskiem więzieniu.

Gintowt radził sprawy zaniechać, i spróbować wskrzesić stare wynalazki: uczynić, łuk lub proce, ale wdowie żal było pamiątki, więc rozpoczęto starania o pozwolenie ujrzenia rusznicy i odczytania znaków. Po miesięcznych prośbach, jazdach i opłatach osiągnięto cel i zakomunikowano starostwu, że strzelba ma na lufie numer 3080 — zresztą fabryki nieznanej.

Na skutek tego, otrzymano prawo na jej posiadanie i odzyskano ją z powrotem.

Na tem zapewne mogła się historia skończyć, aleści los się zajął na dwór o rusznicę.

W następnym roku Gintowt umarł, a na pomoc i opiekę kobietom zjechał młody krewny z Kongresówki. Gdy się rozejrzał, poprosił o jaką broń, i chociaż na widok tego zabytku przeszłości po-

gardliwie ramionami ruszył, jednak udał się do starostwa, aby zgodnie z prawami obowiązującymi wejść w jej używalność. Był pewny, że wróci z dokumentem w porządku.

Ale w starostwie, na widok inteligenta Polaka, najeżyły się wrogo władze i rozpoczęło się ostre śledztwo, jako nad osobnikiem nadzwyczaj dla rządu podejrzanym.

Imię, nazwisko, imię ojca i matki, data urodzenia, t. j. dzień i godzina oraz kwadra księżyca, (ponieważ uczeni rządowi zauważyli, że ludzie urodzeni na nowiu miewają w charakterze cechy buntownicze i urodzeni na pełni, dążności reakcyjne) dalej cenzus naukowy, przynależność partyjną, legitymację, bilet wojskowy.

W tem miejscu Fagot i Boholubski sponurzelili na twarzy i groźne postavili oczy: Petent miał świadectwo demobilizacyjne armji ochotniczej.

Pytania nastąpiły coraz ostrzejsze: czy ma rewolwer? Dlaczego nie ma, jeśli służył w wojsku? Czy ma prawo na polowanie? A dlaczego je ma, kiedy jest marzec i polować nie wolno? Dlaczego przybył w pomoc wdowie, kiedy u niej las już zupełnie zniszczony? Ostatecznie kazano mu złożyć fotografię, kwit płatniczy z kasy skarbowej, a gdy to załatwił, zapytano, czy ma pozwolenie na kupno strzelby.

— Jest w domu jednorurka kurkowa, Nr. 3080, zapisana już w urzędzie.

Zaczęto szukać w papierach.

— Tak, ale numer ten zapisany na Jana Gintowta. Musi pan otrzymać pozwolenie na kupno u niego.

— Ale on umarł.

— W takim razie u jego sukcesorów.

— Ale ta strzelba jest własnością dziedzicki.

— To nieprawne, i musi być sądownie udowodnione. Pozwolenia pan dostać nie może.

Tu się pan Boholubski odwrócił, aby podpisać pozwolenie na imię Mikity Hawryluka, które mu podsunął sekretarz, a starosta Fagot, przypomniawszy sobie swój uprzedni fach, rzekł z namaszczeniem:

— Prawo jest podstawą bytu i rozwoju państwa i sferom inteligentnym należy dawać przykład czci i poszanowania praw Rzeczypospolitej.

Z tą nauką został petent łaskawie uwolniony z przed oblicza zebryńskiego wielkorządcy. Po powrocie do domu i długiej naradzie z dziedzicką wystosowano następujące pismo:

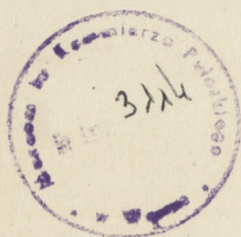
„Do pana Bronisława Gembarzewskiego, Dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie.

Niżej podpisana składa do Muzeum strzelbę jednorurkę Nr. 3080, przechowaną z powstania

1863 roku, a zarazem uprzejmie prosi pana dyrektora o wypożyczenie z Muzeum kuszy do strzelania lub rysunku takowej, a to w celu zbudowania owego narzędzia dla obrony życia mieszkańców Polaków na Kresach, skazanych na zagładę przez miejscową administrację.

Upraszam o wybaczenie, że strzelbę doręczy pan Aron Safir, lub Iwan Kiryluk, posiadający prawo na broń, którzy, za stosownem wynagrodzeniem, komisu tego się podejmą.“

**PRZEKROCZENIE
OBOWIĄZUJĄCYCH USTAW**



Pan Pyczek, komendant posterunku policji w gminie Glinowskiej, powiatu Żebryńskiego, wybierał się na wieczorynkę do wdowy po nastawniku Borysowiczu, do której konkurował od dłuższego czasu, patrząc miłośniczo na jej wdzięki obfite i również obfite gospodarstwo. Tego wieczoru miała być biesiada ze świeżą kielbasą — w sam raz okazja do oświadczyn i zaręczyn.

Właśnie gdy dopucowywał buty, wpadła do posterunku baba z jękiem i zawodzeniem, jakby po morderstwie najmilszego dziecka.

— Zabił, zabił mnie. Ratujcie, pane ratujcie. Sadło wziął z komory, ludzie widzieli. Ja do niego żeby oddał a on do mnie z „mlonem“ — i zabił, czysto zabił. Och, ja nieszczęsna sierota, wdowa!

— Kto taki?

— Tenże złodziej, hycel, kandalszczyk! Żeby go nagła śmierć, żeby go ślepego rodzili, żeby...

— Milczeć! Kto taki?

— Łomaka Sydor.

— Co łiesz babo; Łomaka najbogatszy gospodarz, członek rady powiatowej! Idź do diabła!

— Pane, ratujcie! Ludzie widzieli, świadki są. Zabrał sadło — w oborze zakopał. Widział Semen i Iwan i Mokrenia!

Wśród jęku i krzyku, baba wydobyła z fartucha szmat płótna i butelkę — umieściła u nóg komendanta i runąwszy na ziemię, wyła.

Pan Pyczek się śpieszył, zresztą był energiczny, więc krzyknął na podkomendnego:

— Panie Łysek — dajno mi tu pan Łomakę Sydora.

Skoczył policjant — i nie upłynęło kwadransa, wrócił z Sydorem Łomaką.

— Ukradłeś sadło u tej baby?

— Żebym jutro na „pokuci“ wyciągnięty leżał, tak się klnę, że ta jędza bresze jak pies — zaczął obrażony członek sejmiku ziemi Żebryńskiej.

Pomyślał chwilę pan komendant Pyczek. Wedle obowiązujących ustaw należało spisać protokół i zarządzić rewizję, ale pan Pyczek się śpieszył do wdowy, i te wszystkie ceregiele ze-psułyby mu wieczór, biesiadę i oświadczyiny.

Więc nagle krzyknął do podkomendnego:

— Wyprowadź pan babę na drogę — i nie wracaj, aż wyjdzie Łomaka.

Policjant uśmiechnął się z porozumieniem, porwał babę za kark i zniknął. Na posterunku został pan Pyczek i członek sejmiku, i zabawili tak we

201
019n
1
dwóch nie dłużej, jak dziesięć minut. Potem ukazał się Łomaka, jakby wystrzelony z armaty — za nim but pana Pyczka, i rozległ się jego głos, trochę zdyszany:

— Panie Łysek — idź pan z nim, odbierz sadło, oddaj babie i szlus!

Co powiedziawszy, pan Pyczek odmaszerował do wdowy.

Sprawa obleciała wieś jak płomień, wzbudzając w chłopach szacunek i cześć dla polskiej policji.

— Bacz! Sprawny! — w trzy migi prawdy doszedł i złodzieja nakarał, jakby Germaniec!

Ale do Semena Łomaki, który w złym humorze wylegiwał się na piecu, wstąpił sołtys Rekacz, chłop bywały i pyskаты, urobiony przez kandydata na posła, adwokata Safira.

— Co to, kumie! Obraził się policman?

— Cholera na niego! — burknął Łomaka.
— Kości nie czuje.

— To nie prawne! To gwałt nad wolnym obywatelem, nad roboczym człowiekiem. Ty mu tego nie daruj! Ty czynownik, deputat! Ciebie nie wolno tknąć. Jest sąd, prawo! Ty skargę zanieś do starostwa. Jego za to ze służby wyrzuca.

— Co powiem? Sadło było w chlewie!

— A nie mógł ci go kto przez złość podrzucić?
A zresztą, jakby i znaleźli — powinni byli mnie

oddać na przechowanie, aż sąd będzie! Załóż ko-
byłę i jedź do starostwa.

— Chyba piechotą pójdę, bo siedzieć nie
mogę.

— A gadaj z góry! Na całą gminę obraza,
w osobie deputata. Jak takie będą gwałty, to nikt
respublice służyć nie zechce, bo żaden urzędnik
nie będzie bezpieczny od samowoli policji. Im
wolno tylko protokół spisać — więcej nic!

Łomaka nabrał ducha i rezonu! Posłał chłopca
po wódkę — i cały wieczór uczył go Rekacz, co
i jak mówić powinien.

O świcie z gęstą miną ruszył do starostwa.
Gdy był już w obrębie grodu Żebrynia chód jego
lekki i szybki stał się powolnym, postawa zgar-
biona, a gdy stanął w poczekalni pana i władcy
powiatu, wyglądał jak człowiek nad grobem sto-
jący. Jego głuche stękanie i dyskrytne jęki wzru-
szyły woźnego, który rozpytał o sprawę, zamel-
dował i natychmiast przed oblicze starosty do-
puścił.

— Czem mogę panu służyć? — spytał, ze
zwykłą swą uprzejmością, pan Fagot, starosta

Był suspendowanym księdzem z Galicji, i za-
chowwał z dawnego swego fachu dobroć i giętkość.

— Jaśnie wielmożny panie — zaczął Ło-
maka.

— Bez tytułów — jesteśmy równymi obywatelami Rzeczypospolitej — a ja na usługi każdego. Jak pana godne nazwisko?

— Ja, Łomaka z Glinnej, członek rady powiatowej. Przychodzę szukać sprawiedliwości.

— Bardzo mi przyjemnie. Przypominam sobie pana z posiedzeń sejmiku. Jakaż sprawa?

— A to o te sadło. Baba Serhuty, doniosła na mnie do policji, że ja jej sadło wziął. To policja, zamiast spisać protokół... tu się zaciął Łomaka, bo nauczonego zdania zapomniał.

— Uwierzyła w takie obelżywe posądzenie i zrobiła bezprawnie rewizję w mieszkaniu wolnego obywatela! — odpowiedział pan starosta.

— Rewizji ja nie dał robić, bo sadło co baba podrzuciła sam oddał — ale ten komendant przestąpienie na mnie uczynił.

— Przystąpienie obowiązujących ustaw! — odpowiedział pan starosta. Czy mam rozumieć, że podniósł rękę na godność pana obywatelską?

— Na godność to nie, i nie rękę a gorzej, bo wziął pytkę i ot — niech jaśnie pan starosta sam zobaczy.

Tu Łomaka uczynił zwrot swą osobą, wyprowadził z porządku zwykłego garderobę — i przedstawił władcy powiatu swoje corpus delicti nadużycia policji.

Okrzyk zgrozy wydarł się z ust starosty i ze współczucia i żalu zasłonił oczy i zarazem nos — i wielkim głosem zakrzyczał:

— Pana referenta szpitalnictwa, pana referenta sanitarnego, pana komendanta policji!

Szczęściem wszyscy wpadli w tejsze chwili, bo byli właśnie w starostwie, a za nimi wpadły też dwie panny maszynistki, ale ujrzawszy przestępstwo policji, wrzasnęły, i uciekły bliskie zemdlenia.

— Panie referencie szpitalnictwa, tego umęczonego obywatela odwieść memi końmi do szpitala i wykąpać, panie referencie sanitarny — proszę o natychmiastowy protokół lekarski, a pan, panie komendancie policji, uczyni pan natychmiast sąd nad podległym sobie funkcjonarjuszem, który w ten barbarzyński sposób wykracza przeciw obowiązującym przepisom, i ośmiela się podnieść dłoń na godność członka rady powiatowej.

Rzucili się wszyscy okazać swe współczucie ofierze. Referent szpitalnictwa pomógł mu w doprowadzeniu do porządku garderoby, referent sanitarny otworzył okno w biurze, a komendant policji wyjął notatnik z kieszeni i zapisał nazwisko kata, godności Łomaki.

Pan starosta osobiście przeprowadził męczennika aż za próg biura, a maszynistki założyły świeży papier na maszyny i, drżące ze wzruszenia

czekały na dyktando piorunującego cyrkularza. Tylko komendant policji był niewzruszony, i patrząc za powotem, uwożącym Łomakę do szpitala, zamruczał po rosyjsku, bo był oficerem z armji Judenicza i zakamieniałym monarchistą:

— Chachłacka gadost'! Mierzawiec! Najlepszego policjanta stracę!

I oto był powód, dla którego rozchwiały się jak dym zamiary matrymonjalne pana Pyczka, a wdowa po uriadniku — wyszła zamaż za pana Łyska, jego podkomendnego.

„OBYWATEL“ KUŽMA SUPRUNIK.

FOR THE YEAR 1880

Kuźma Suprunik wrócił z „Rassiei“ w 1919 roku, po dziesięciomiesięcznej peregrynacji przez wielką Sowdepję. Chatę zastał niespaloną, ale w formie szkieletu, bez drzwi, okien, pieca i sufitu. Ale to była dla chłopca bagatela, bo przecie ostał dwór, do którego wnet po ratunek pospieszył. „Pan“ go z punktu zwymyślał za ucieczkę i opuszczenie swego dobra, na co się Kuźma zgadzał, kajał, klnąc popa i „naczalstwo“, które go do tego namówiło, a wychwalając polską granicę, wojsko, opiekę, której doznał i szczęście, że w „Polszy“ jest jak w raju. „Pan“ jeszcze trochę warczał, ale prędko zmiękł, i choć sam miał dwór rozgrabiony, odarty i pusty — dał Kuźmie parę desek, trochę cegły, suszu na opał, kartofli i bochen czarnego chleba ze swego stołu.

Resztę desek, cegły i drzewa, Kuźma ukradł dwie dworze nocami, bo miał dwóch chłopców, żonę i dziewczkę, było więc komu i kartofli z kopca nadebrać i do rozwalonej stodoły się dobrać i z lasu drzewo ciągnąć w jesienne sloty. Na zimę już

miał chatę w porządku, a że przywiózł ze sobą od bolszewików dwie „dachy,“ atlasową kołdrę, pięć srebrnych łyżek — i trzy złote pierścionki z brylantami poszeptał z żydami i do wiosny miał już klacz, jałówkę, parę świniaków — wóz, pług i bronę.

Do dworu o pomoc i radę przestał chodzić, bo się dowiedział i przekonał, że choć „czynownicy“ byli „Polaki,“ „Pan“ nie miał w „Każnie“ żadnego głosu, wpływu i znaczenia — tak, jak i za „carskich“ czasów i dwory miały być skasowane, a ziemia pańska pracującemu narodowi rozdana. Zresztą dwór można było grabić bezkarnie, bo sądów jakby nie było, a jak i kto dał się złapać na kradzieży, toć sędzia był swój, człowiek „ruski,“ a taki życzliwy dla biednego narodu, że czasem sztraf ze swej kieszeni zapłacił, kiedy nie mógł uwolnić od kozy.

Można było żyć w tej „Polszy.“ Przysłali do gminy całe wagony odzieży amerykańskiej, więc choć u Kuźmy były dwie skrzynie pełne, dostał po trzy garnitury na każdego członka rodziny. Nawet na dwoje tych, co w drodze pomarli. Potem zwieziono wagony produktów dla dzieci, więc znowu Kuźma podał swoich pięcioro, boć przecie to były dzieci, choć jeden miał się żenić na Trójcę, a córka miała półrocznego chłopczyka „z drogi“

— no i syto było w chacie: biała mąka, smalec, cukier, kakao, kondensowane mleko, ryż, że się z tego zebrało grosz na wszelkie statki i porządki gospodarskie, i można było kupić wódki dla siebie i dla tych z gminy, co spisy zestawiali i podania pisali. Podania Kuźma wysyłał bezustannie o nasiona, o zboże na chleb, o drzewo na odbudowę, o narzędzia, o straty wojenne, o zapomogi na gospodarstwo — i „Polsza“ nie była głucha na skargi i prośby „obywatela“ Kuźmy.

Przyszły wagony zboża, referat rolny starostwa dostarczał narzędzi i nasion, wyznaczono kontyngenty materiału drzewnego z „pańskich“ lasów — ulicę wsiową zawałił budulec, że Kuźma postanowił syna starszego oddzielić, postawić drugą chatę i stare chlewy sprzedał żydom, a nowe zbudował.

Było z tem dużo roboty, ale się opłacało. Trzeba było płacić za różne kwity, to zbożem, to sadłem, to wódką — trzeba było bezustannie jeździć od gminy do starostwa, wyczekiwać, skamleć, faktorom fundować, ale przecie zawsze się wskórało — i „czynownicy“ nigdy w mordę nie bili, a mówili mu „pan,“ nie „towariszcz,“ co zresztą to samo znaczyło, tylko, że towariszcz często tam, za kradzież stawiali pod ścianę, a tutaj nikt się nad „panem“ Kuźmą nie pastwił, a on, chociaż „pan,“ zachował swą starodawną politykę:

był pokorny, cierpliwy, zawsze zbiedzony, narzekający, żebrzący, kłamiący i kradnący.

Nikomu w niczem nie ufał, nawet pijany nie bywał szczery, nawet w gromadzie się nie zdradził. Jego kum i sąsiad Mikita Oprysiuk, bogaty gospodarz, który do Rosji nie wyjechał, ale rozgrabiał co mógł w czasie upadku Rosji i w czasie okupacji Niemcom służył, teraz Kuźmie radził, i niekiedy miewał szyderczy śmiech:

— Ot „durnij narod“ — mawiał o Polakach, gdy byli z Kuźmą sami, nad butelką wódki, po dobrze załatwionej sprawie w gminie lub starostwie.

A Kuźma oglądał się i odpowiadał:

— Cyt. Ktoś posłyszyl!

— To co! Jak i posłyszyl, to pomyśli, że o muzyku mówię. To nie Germańcy, co wszystko rozumiełi. Te to umieli panować — a te — splunął:

— Welykij do neba, a durnyj jak treba!

— Daj Boże im panowanie! — kończył Kuźma.

Gdy fala bolszewicka zalała tę Ruś i sięgnęła do Warszawy, Kuźma powitał obojętnie towarzyszców. Dobytek swój ukrył w niedostępnych haszczach — sam apatycznie znosił szarwarki, posyłki, rewizje, załogę oberwańców, zbeszczeszczenie cerkwi, słuchał obojętnie „meetingów“, a jedno go tylko oburzało, że dworskie ziemie zajęto na komunę i zbiory rozdrapało wojsko.

Trochę przytem ukradł nocą Kuźma, ale mało co; ze dworu też nie można było ściągnąć, bo zajmował sztab i było za gęsto „krasnej“ armji. Przy odwrocie bolszewickim tyle, że złapał parę koni, nieco patronów i kilka karabinów. Zresztą hola była sama głodna, bosa, a bogate komunisty zemknęły pierwsze — i nic dobra ta wojna Kuźmie nie dała. Powrót Polaków dał znowu pole do skarg, próśb, szacunku strat i podań o zapomogi.

Na razie wszystko było po dawnemu. Kuźma otrzymał zboża na siew i chleb, komitet ratunkowy dał mu kaszy, sadła, konie bolszewickie, zanim o nie spytano, sprzedał — Mikitę wybrano na wójta, a on został członkiem Rady gminnej. Ujrzał też na ścianie w gminie obwieszczenie, że folwark dworski, najbliżej wsi leżący, został przejęty na własność Państwa.

Cała Rada Gminna słyszała, jak sekretarz to czytał i chciwe oczy pożerały nieznane zgłoski.

— Ale to nie pisze, że na „komunę“ — jak w Rosji — spytał nieufnie jeden.

— Nie, do podziału między roboczy naród — tłumaczył sekretarz Bielajew, dawny urjadnik.

— Ale pewnie drogo każą płacić?

— Nie. Za darmo.

Chłopi kiwali głowami i zaczęli rachować, ile na każdego wypadnie i orzekli, że na początek to

będzie mało, ale pewnie później i resztę dworu oddadzą.

— Trzeba pisać podanie, że mało, — rzekł Kuźma do Mikity, gdy się znaleźli sami z butelką wódki. A Mikita się śmiał:

— Ot „durny naród“. Polaki Polakowi zabierają ziemię, żeby muzyk miał.

Ale to była ostatnia radość Kuźmy i kres nadzwyczajnych pomyślności. Przyszły utrapienia. Kiedy na rozkaz wydania broni — nikt nie oddał, zaczęto robić rewizje po wsiach. Karabinów wprowadzić nie znaleziono, ale zabrano u Kuźmy kozuch, dwa płaszcze, płótno z namiotu i przytem przepadło sporo słoniny i płótna domowej roboty.

Potem na gminę naznaczono podatki i stójkę. Rada Gminna, co mogła nakładała na dziesięciny, aby dwór płacił. Ale zawsze i Kuźma musiał cośkolwiek dać — a on przecie dotąd tylko brał. Zaczęto szemrać. Wtedy zbliżył się Kuźma do popa, ojca Wsiewołoda, który przy najściu bolszewickiem przemycił się przy taborach i osiadł w probostwie. Ojciec Wsiewołod się cieszył, że łada moment car wróci, bolszewików zgębi — i cały kraj pod swą władzę zagarnie — a Polaków przepędzi do „Austrii,“ skąd przyszli na utrapienie „ruskiego naroda.“

Trzeba tylko trochę pocierpieć, broń i patrony chować — aby, gdy car manifest wyda, Polaków gnać i ziemię zabierać. Wprawdzie sędzia Golubjew, który bywał często u popa, dowodził, że na cara nie trzeba czekać, tylko samym Polaków wypędzić i ogłosić własną republikę. Ale Kuźma do czynów orężnych nie miał ochoty i wolał mieć „kaznę carską,” a nie mużycką, bo chował w duszy stare przysłowie: nie daj Boże, pana z Iwana.

Ferment tymczasem rósł, bo oto pewnego dnia, na dworski folwark, zjechała banda Polaków, napół po żołniersku ubranych z geometrą, i chłopci dowiedzieli się, że to są osadnicy na „ich“ ziemię. Wogóle byli to wcale inni Polacy — jak ci starzy, od wieków osiadli po dworach „pany,” z którymi Kuźma umiał sobie poradzić, i od których mógł skorzystać. Przybysze mieli mowę niezrozumiałą i pięści skore do bitki. Wnet to odczuł Kuźma, gdy, wedle starożytnego obyczaju, wypędził nocą konie na, niegdyś dworską, łąkę. Przekonał się, że są Polacy, co bardzo mocno w mordę potrafią zjechać i mają sen lżejszy od dworskich stróżów.

Pozatem trapiła Kuźmę i jego synów złość i zawiść do „Amerykanów.“ Wieś zarzucona była dolarami, które rodzinom przesyłali przedwojenni emigranci do Stanów Zjednoczonych, a Kuźma niko tam nie miał i tylko patrzył, jak sąsiedzi ku-

powali za dolary konie i krowy, a pozatem jedli kiełbasę i pili konjak do bezpamięci. Patrzył Kuźma, spluwał i wzdychał, a synowie zaczęli się z inną młodzieżą zmawiać, nocami znikać i jakiś sposób na zdobycie dolarów obmyślać. Jakoż zimą, na gościńcu ograbiono raz i drugi fury żydowskie, a wreszcie, przy trzecim napadzie, poraniono parę osób. Żydzi musieli zapewne wysłać skargę od mniejszości narodowych do Ligi Narodów, bo administracja wdała się w tę sprawę, zjechał urzędowi i tajni policjanci — a najgorsze, że przywieźli z sobą psa, który nie dał się ani oszukać, ani przekupić, i doprowadził do obory Kuźmy, gdzie znaleziono w gnoju skrzynkę likierów, a za złobem, w skrytce Trochima okaleczonego w rękę z rewolweru, przez jednego z napadniętych.

Próżno Kuźma poprzysiągł, że o niczem nie wie, syna klął i czortu oddawał, a potem do nóg padał i błagał, a wreszcie obiecywał wykupić za jaką zechcą sumę — wzięto Trochima. Miano go podobno nawet rozstrzelać, ale poszło w odwłokę, aż Trochim z więzienia umknął i słuch o nim zaginął. Ale Kuźma wiedział, że syn już był bezpieczny w Bolszewji, i że miał się dostać do Ameryki.

— Da Bóg na przyszły rok — i my będziemy mieć dolary! — mawiał poufnie do drugiego syna.

W takim nastroju nadeszły wybory do Sejmu. Zrazu Kuźma ani rozumiał, ani dbał o co to chodzi, ale ojciec Wsiewołod, sędzia Gołubiew, adwokat Safir i Guryn, właściciel futoru i dawny nastawnik wyłożyli mu dokumentnie, że jeśli chce pozbyć się Polaków, dostać ziemię i nie płacić podatków, powinien wziąć u nich kartkę i w oznaczony dzień — złożyć do skrzynki w gminie. Mówili to samo różni przejezdni na meetingach, ostrzegając przed innemi kartkami, które powrócą pańszczyznę.

Kuźma kartkę wziął, a gdy go wezwano do spełnienia obywatelskiego obowiązku, stawiał się w gminie i głos swój starannie oddał — i już tylko oczekiwał spełnienia obietnic.

Aliści nic się nie spełniło. Osadnicy pobudowali się na folwarku, „pan” siedział we dworze, podatki rosły, zapomóg nie ma, wódka coraz droższa.

Kiedys, na jarmarku jakiś „pan“ w okularach wylazł na wóz i począł prawić po rosyjsku: że rząd naród oszukuje i ciemieży, że, pomimo reformy rolnej, ludność robocza nie dostała ziemi — przeto powinni stwierdzić swą wolność „grażdąską” i niezadowolenie z krzywdy, która im się dzieje — powinni podatków nie płacić, rekruta do pańskiej armji nie dawać, a po zbiorach „czernonego koguta” puścić na dwory i osady, to się

w ten sposób pozbędą i dawnych i nowych Polaków.

Kuźma słuchał i dziwił się.

— Otóż naczelstwo i policja — i nic mu nie robią! — szepnął do kuma Mikity, wójta.

— Toć „deputat” nietykalny. Onże w Warszawie tak samo w polskiej dumie gada, i bierze za to sto miljonów miesięcznie od Polszy! Onże nasz deputat!

Kuźma pokiwał głową i rzekł z cicha:

— Żeby tu jeden carski uradnik.

— Albo Germaniec z pytką! — odparł równie cicho Mikita i zakończył:

— Węłyka Polska do neba, a durnaja jak treba.

I to jest głęboko przemyślane i doświadczeniem stwierdzone zdanie, obywatela polskiego, Kuźmy Suprunika.

Dotychczas mało jeszcze i zrzadka próbuje sposobów „deputata,” ale czeka na sposobność, żeby to uczynić bez ryzyka i dokumentnie, gdy mu ze wschodu przyślą manifest. Tymczasem korzysta, że Polska jest „durnaja” jak jemu „treba.”

§ 4.

W mieście Żebryniu na Kresach Wschodnich żył, był i ziemię mierzył geometra Suryn.

Posiadał dworek i sad, dziedziczne po przodkach i dokumenty od Bony królowej i króla Stefana, kiedy żebryńskie starostwo było królewszczyzną, a w grodzie rządził gubernator królewski.

Przez czterdzieści lat swej pracy mierniczej Suryn schodził wszystkie ziemie, piachy, błota i lasy swego powiatu, i był każdemu znany, wraz ze swą kałamaszką, koniem, astrolabją i łańcuchem — jako część konieczna i urzędowa żebryńskiej ziemi.

Miał się nieźle. Dwie urodziwe siostry wydał za obywateli, dwoje dzieci wykształcił: córkę na pensji w Warszawie — syna na medycynie. Właściwie domem, ogrodem, dziećmi i rodziną rządziła żona, Mysłowska z domu, a rządziła dobrze, bo energicznie. Suryn, gdy nie mierzył ziemi — sporządzał plany i rzadko kiedy w domowych sprawach głos zabierał.

Wojna europejska znalazła Suryna na stanowisku i nie wytrąciła z duchowej równowagi. Dopóki była władza, sądy i chłopci — ziemię mierzył i plany rysował; przy klęsce rosyjskiej łańcuch zwinął, astrolabję na strychu ukrył i czekał co dalej będzie.

Niemcy zajęli mu dom, ale dzięki lejtnantowi Goritz, który po bliższem poznaniu okazał się Gorycą, Poznańczykiem, zostawili rodzinie dwie izdebki, a świeżo upieczonego doktora Stanisława Suryna zarekwirowali do służby sanitarnej, zresztą zostawili starych w spokoju.

Przez ciąg okupacji bywało głodno i chłodno, ale Suryn w głębi duszy chował Wielką Wiarę w zmartwychwstanie Ojczyzny, a jako z dziada pradziada nawykły do wrażej opresji, znosił cierpliwie utrapienia, ciesząc się, że to będą ostatnie.

Jakoż doczekał się pogromu niemieckiego i spłakał się, raz pierwszy w życiu, na widok ułanów polskich, co zajęli Żebryń.

Nastaly rządy polskie. Suryn wydobyl swój łańcuch, astrolabję i stanął w gotowości do dalszej pracy. Syn ruszył z ułanami; po córkę zgłosił się lejtnant Goryca, już bez nienawistnego munduru, ale cywilny obywatel i kupiec Poznania.

Odbyło się tedy weselisko i starzy zostali sami,

w jednej izdebce, bo dom zajęto cały na rządowe instytucje.

Było coraz głodniej, więc się Suryn zgłosił do starostwa, prosząc o zajęcie.

Ale po przejrzeniu jego papierów i dyplomów, oświadczone, że nie posiada żądanych kwalifikacyj, i żadne jego plany, tak przeszłe jak i przyszłe, urzędowej wartości nie mają. Suryn na razie nie zrozumiał, i wogóle do śmierci nie zrozumiał. Wrócił do domu, parę tygodni przesiedział, jakby osłupiały, a wreszcie, jednego ranka znalazła go żona martwego w pościeli.

Państwo polskie nie poniosło jednak żadnej straty z jego śmiercią, chociaż, przy reformie agrarnej i uchwale osadniczej, bardzo potrzebni byli geometrzy; ale Suryn nie miał kwalifikacyj, i kto wie, czy zechciałby pracować przy przymusowem wywłaszczeniu swych krewnych, przyjaciół i znajomych.

Umarł tedy w samą porę, a co przemysłał w milczeniu parotygodniowem przed śmiercią, to zostało między nim, a Bogiem.

Wdowa została bez środków do życia, bo za dom nie płacono komornego, więc doktor zjechał i złożyłwszy broń i mundur, zabrał się do praktyki lekarskiej.

Jakiś czas zostawiono Surynów w spokoju. Ani starosta Fagot, ani jego pomocnicy Hilareńko i Boholubski nie zwracali na nich uwagi, zajęci organizacyjną pracą kraju. Dopiero doktor Puryc doniósł kiedyś do starostwa, że doktor Suryn w restauracji, przy wielu świadkach, nazwał urzędni ków żebryńskich „fagocytami.“

Na razie możnowładcy starościńscy, nie zrozumieśli wyrazu i dopiero na wytłumaczenie doktora Puryca, że to ma znaczyć szkodliwa bakterja, poczuli się dotknięci.

Suryn stracił praktykę urzędniczą, o co mało dbał i w każdej urzędowej sprawie był traktowany wykrętnie i wrogo, co mu gorzej dokuczało, ile że z powodu rodziny, powracającej z Rosji, miał tych spraw co niemiara.

Nie znajdując ani sprawiedliwości, ani uznania swych słusznych zażaleń i protestów, rozdroczył się, klął „fagocytów” coraz otwarciej i został uznany za zupełnie szkodliwego. Wtedy to, nastąpiła na niego policja, żądając okazania paszportu. Nie uznano za wystarczające papierów wojskowych i rozpoczął starania o dokument cywilny, urzędowy. Wydział paszportowy, a raczej „referat,” prowadził w starostwie pan Pskiet, który karierę swą urzędniczą rozpoczął jako „manipulant,” czy „praktykulant” w Rzeszowie. Dalsze losy i praca

pana Pskieta nie są wiadome, i zresztą w tej sprawie obojętne. Na podanie swe doktor Suryn, po długiem czekaniu, otrzymał wezwanie, aby przedstawił dowody przynależności państwowej. Wydało mu się to bardzo prostem i jasnem, więc złożył swą metrykę chrztu z żebryńskiego kościoła i paszport rosyjski ojca, gdzie wraz z matką i siostrą był wpisany, i oczekiwał już tylko wydania legitymacji.

Znowu upłynęło sześć niedziel, albo więcej, aż przyszła odpowiedź-żądanie, by przedstawił świadectwo, że liczy się i jest zapisany do stałych mieszkańców powiatu.

Tego już wcale nie rozumiał i udał się osobiście do pana referenta Pskieta, który mu uroczyście oznajmił, że wedle paragrafu 4, ustawy sejmowej, z roku takiego, miesiącami takiego i dnia takiego, petent o prawo przynależności państwowej obowiązany przedstawić zaświadczenie odnośnej władzy, że jest stałym mieszkańcem danej miejscowości. Pereat mundus, fiat paragraf — było religją pana Pskieta, i doktor Suryn rozpoczął mozolnie poszukiwania swej przynależności. Udał się do gminy, ale tam nie był zapisany, udał się do magistratu, ale i tam siebie nie znalazł, aż wreszcie stary pan Okoczyński, przyjaciel ojca, zagadkę mu rozwiązał.

— Jako szlachcic, byłeś zapisany w Marszałkowskiej kancelarji, w „dworańskiej opiece.“

— A gdzie są papiery tej „opieki?“

— Marszałek je wywiózł przed Niemcami do Orła. Przecie twój wuj Mysłowski musiał wraz z archiwum wyjeżdżać, i tam przepadł. Dzieci, co u was siedzą, opowiadają, że bolszewicy archiwum spalili!

Poszedł doktor Suryn znów do pana Pskieta. Ale tego nie wzruszyła wiadomość.

— Należy w Orle sporządzić protokół o zniszczeniu dokumentów.

— Jakto? W Orle? U bolszewików? Czy mam się po to tam udać?

— Można załatwić przez ambasadę sowiecką w Warszawie. Bez tego grozi panu dostawienie do granicy. Paragraf 4 przewiduje tę ewentualność — zakończył triumfująco pan Pskiet, „praktykulant“ z Rzeszowa.

— Mówiono mi, że w gminie w podobnych sprawach wystarczy zeznanie dwóch świadków.

— Których urząd uzna za wiarogodnych i dobrze sobie znanych! — dokończył pan Pskiet. Po kilku dniach do referenta paszportowego wpłynęło zeznanie o przynależności państwowej doktora Stanisława Suryna, podpisane przez dziekana i obywatela Okoczyńskiego. Upłynęło znowu

sześć niedziel, albo i więcej, aż przyszła odpowiedź, że świadkowie nie zostali przez referat paszportowy przyjęci. Wtedy Surynowa stara rzekła:

— Adaś Goryca jest przecież posłem w Sejmie. Proście go Staśku o ratunek!

Doktór blady jak ściana z irytacji, trzęsącą ręką napisał depeszę, a potem zapisał sam sobie końską dozę bromu i posłał do apteki. W tydzień potem, do dworku przyjechał z kolei poseł Goryca i, z całą systematycznością wielkopolską, różne sprawy Surynów zbadał. Parę dni po miasteczku chodził, ludzi rozpytywał i notował.

Gdy się wreszcie z doktorem do pana Pskieta wybrał, wziął ze sobą aparat fotograficzny. Przechodząc przez sale i ubikacje starostwa, bez ceremonji ludzi na migawkę brał, zresztą uwag żadnych nikomu nie robił.

Pan Pskiet już wiedział o jego przybyciu i chociaż to był poseł narodowy, a zatem z sejmowej mniejszości, stał się jednak o tyle giętszy, że był prawie „praktykulantem“ z Rzeszowa.

— Czy pan referent zechce mi udzielić wyjaśnienia, dlaczego dziekan katolicki, ksiądz prałat Osiecki, i weteran z 63-go roku, pan Okoczyński, nie zasługują na wiarę urzędu, lub nie są urzędowi znani? — spytał pan poseł.

— To była kancelaryjna pomyłka. Odnosny

urzędnik otrzymał już monit, a paszport doktora Suryna jest do odebrania za podpisem w dzienniku.

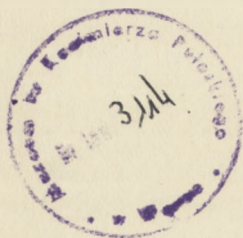
Pan poseł wyjął aparat fotograficzny i uwiecznił pana referenta Pskieta, a gdy wychodzili ze starostwa, doktor z paszportem w kieszeni, odsapnąwszy z ulgą, jak po zmorze, spytał szwagra:

— Pociąg ich fotografował?

— Zda się, nieprawda! Kiedyś będą w gabinecie figur wojskowych. Schreckenskammer w Panopticum — oddział: Kresy Wschodnie. Mam zbiór z różnych stron!

Starania doktora Suryna o przynależność polską w jego rodzinnem mieście, Żebryniu, trwały jedenaście miesięcy.

**CZTERECH
MAŁYCH MYSTKOWSKICH.**



Najstarszy miał imię Romuald, na pamiątkę Traugutta, pod którym dziad ich walczył i padł pod Horkami, drugi był Tadeusz, jak Naczelnik Kościuszko, z tejże ziemi pochodzący, trzeciego nazwano Jackiem, jak dziad, a ostatni co się przed samą wielką wojną urodził, miał za patrona królewicza Kazimierza.

Porodzili się wszyscy w Borkach, mająteczku rodzinnym, w dworku starym, drewnianym, strzechą krytym i wychowali się zdrowo i cało wśród swoich zbóż, łąk, olszowych zarośli i piachów, na których stał wiatrak, patrzący z pogardą na torfowe bagno, stanowiące część ich posiadłości. Reszta ziemi była urodzajna, uprawna i otaczała wieńcem zbóż dworek, cały w sadku owocowym ukryty.

Mystkowski, ojciec, cały trud swego życia włożył w zachowanie Borek, które otrzymał w posagu za żonę, gdyż ich rodzinne Mystkowice skonfiskował rząd rosyjski, za udział Jacka w powstaniu. Borykał się Mystkowski ze splatą rodzeństwa żony, z długami na to zaciągniętymi, z tysiącem

spraw granicznych, bo połowa Borek była szachownicą w kilkudziesięciu morgowych niwkach, z klęskami żywiołowymi, z ciężkimi przednówkami, z gradem lub suszą, wogóle ze wszystkimi utrapieniami posiadacza ziemi. Aby temu podołać osadził żonę w dworku, sam brał się do każdej pracy. Był posługaczem w sklepie, dozorcą drogowym, subjektem w składzie nafty, a wreszcie otrzymał podrzędną posadę, jako Polak, w marszałkowskiej kancelarii. Przed samą wielką wojną doznał kresu swych trudów i z triumfem oznajmił znajomym, że na Borkach nie miał już grosza długów.

Ale wtedy przyszła kwestja nauki dla chłopców, więc oddał Borki w dzierżawę, a Mystkowska z dziećmi osiadła w miasteczku, gdzie dwóch starszych oddano do gimnazjum, a trzeciego uczono w domu.

W 1915 roku, gdy powódź niemiecka zalała Polskę i sięgała Kresów, instytucje rządowe zaczęły w panice wycofywać się do Rosji, wywożąc swe dobro i urzędników. Mystkowski otrzymał rozkaz ewakuacji, ledwie zdążył zagarnąć żonę i dzieci, i wraz z archiwum marszałkowskiem, zawleczono ich do Kostromy. Było to tak nagle i niespodziewane, że zanim się opamiętali, między niemi a krajem stanęła żelazna granica wojny.

Zacząła się męczeńska dola wygnańcza. Przeżyli jednak wszyscy sześcioro upadek caratu, bolszewizm, Denikina, Kołczaka, triumf zupełny sowietów, wszystkie nędzy i niedole, które ze wszystkich Bożych stworzeń — człowiek tylko potrafi bliźnim uczynić — i znieść — i odarci ze wszystkiego i stępiali na wszystko — znaleźli się stłoczeni, jak bydło w wagonach plugawych — w powrotnej drodze do kraju.

Wędrówka ta piekielna zaczęła się jesienią, i trwała miesiące. Bywały tygodniowe postoje na jakichś zrujnowanych stacjach — posuwanie się o wiorst parę i cofanie z powrotem znowu na tygodniowe postoje.

Wszelkie choroby opadły nieszczęśników i wreszcie, około Bożego Narodzenia, Mystkowska pierwsza zapadła na tyfus. Zabrano ją do szpitala konającą — mąż i dzieci chcieli też przy niej zostać, ale ich spędzono z powrotem do kloaki, zwanej wagonem i pociąg ruszył.

Wszyscy dostali tyfusu. Romek najstarszy pamiętał jeszcze, że leżąc przy ojcu, odczuł jego chłód i twardość ciała, a potem pustkę, gdy wyrzucono trupa na plant a wreszcie nic nie wiedział i nie czuł, aż się ocknął na podłodze szpitalnej, w jakimś rosyjskiem mieście.

Po pewnym czasie, gdy mu wróciła pamięć

i trochę sił — odnalazł braci. Żyli i wyżyli wszyscy czterej i doczekali wiosny. Wtedy, za radą jakiegoś towarzysza szpitalnego, postanowili uciec i pieszo iść do kraju.

Tamten chłop z Mińszczyzny, który stracił w tej drodze całą rodzinę ulitował się nad sierotami, a że miał siły i instynkt pierwotnego człowieka, stał się ich zbawcą. Wykradli się łatwo, bo nędzarzy nikt nie pilnował, ani miał kto interesu w ich obdarciu z łachmanów i ruszyli razem nocą, a potem i dniem na zachód.

Powolna, ciężka to była wędrówka o głodzie i chłodzie, z nogami w ranach, z odpoczynkami po leśnych wykrotach, o zebrany, rzadkim posiłku. Małego Kazika, na zmianę nieśli starsi, a chłop drogę wynajdywał, z ludźmi się porozumiewał, gdy się udało kraść, co się zdawało jadalnem.

I tak ciągnąc, nabierali jednak sił. Krzepiło ich słońce, ciepło, a nadewszystko nadzieja dotarcia do kraju. Gdy przyszło lato, zaczęli się wynajmować do robót rolnych, skosztowali chleba, prawdziwego chleba, przybywało mocy, bo w lesie były jaja po gniazdach, jagody, grzyby i wreszcie w sierpniu dotarli polskiej granicy. Gdy w nocy przebrnęli rzeczkę, chłop stanął i przeżegnał się kilkakrotnie.

— Już my u siebie! — rzekł.

Chłopcy ukłękli i ucałowali ziemię, a potem Romek chlapiąc i zająkując odmówił pacierz.

— A gdzie nasze Borki? — spytał mały Kazik, który dworek rodzinny znał tylko z opowieści starszych.

— Już niedaleko! — pocieszali go.

Reszta drogi wydała im się zabawką. Na pierwszym punkcie granicznym żołnierze nakarmili ich i nieco odziali i tam się rozstali z opiekunem-chłopem. Jego droga do domu szła ku północy, ich ku południowi. Zostali sami na trakcie i gnali ile sił do Borek. Na spoczynkach, po wsiach, po dworach opowiadali:

— To nasz folwark, koło Grabinki, pod Brześciem. Rodzice pomarli w drodze. My piechotą idziemy od Wielkiejnocy, do siebie, do domu. Czy jeszcze daleko do Grabinki? Kierowano ich w stronę Brzeźcia i szli, szli. Gdy mały Kazik ustawał, brał go Romek na plecy i krzepił płacząc go:

— Cicho, Kazik, cicho. Zaraz dojdziemy do domu. Pan Zaręba, nasz dzierżawca nas przyjmie, ugości. Gruszki są dojrzałe, takie złote bery przy lodowni, co jakbyś konfitury jadł. I krowy są — napijemy się mleka do woli, nagotujemy wielki sagan kartofli, położymy się spać na pachnącem sianie. W naszym sianie jest żubrówka i tak

cudnie pachnie. Nie płacz, Kazik, pogoją ci się nogi — pójdziemy zaraz do ciotki Jahółkowskiej, co mieszka o dwie wiorsty w Eljaszowie, i leczy ziołami — i własne sukno wyrabia, i płótna ma pełne skrzynie, a wuj pszczoły hoduje. Pewnie i naszych dogłada. Dostaniemy swego miodu, Kazik!

I Kazik nie płakał, tylko prosił.

— Mów, Romek, mów!

Nareszcie dotarli Grabinki, ale się w niej nawet nie zatrzymali choć wieczór zapadał i deszcz padał. Dwie wiorsty było do Borek, przebyli je kłusem, nie czuli pokaleczonych nóg, ni całodziennego głodu.

Dopadli o zmierzchu. Stał dworek, stały budynki, czernił sad, stała nawet brama, rosły przed domkiem krzewy i stara lipa, świeciło się już w domu. Poskoczyli do drzwi, ale wtem wypadł na nich z ujadaniem pies, a nawet z sieni ukazał się jakiś mężczyzna i krzyknął.

— A kto się włóczy. Wynosić się.

Chłopcy zbili się w gromadkę, i Romek odrzekł.

— My jesteśmy Mystkowscy — do pana Zaręby.

— Niema tu nijakiego pana Zaręby, ino ja, dziedzic. Wynosić się, a to drugiego psa spuszcze.

— Przecie to Borki — nasze Borki. My synowie Kazimierza Mystkowskiego.

— A mnie co do tego czyje wy jesteście dzieci. To moje Borki i szlus! Wynosić się — ostatni raz mówię.

Tu zadźwięczał łańcuch, i na dzieci wypadły dwa psy obce, do piersi przyskoczyły, ze strasznem ujadaniem.

— Włóczęgi, cholera! Ja wam pokażę czyje Borki, — zaryczał mieszkaniiec domu, dopędzając z laską podniesioną. Wtedy dziki popłoch i zgroza ogarnęła dzieci i uciekły, szarpane aż za bramę przez psy. Gdy nareszcie znaleźli się sami na drodze, Romek wyjąkał:

— To jakiś warjat, szaleniec. Może w dworku jest szpital dla warjatów. Chodźmy do Eljaszowa, do ciotki.

Jahołkowscy już spali, gdy chłopcy się przywlekli, i długi czas upłynął, zanim posłyszeli stukanie do drzwi. Nareszcie wyszedł Jahołkowski.

— Kto? Czego? Mystkowscy? Jacy Mystkowscy? Skąd? Jak? Chłopcy z Borek? Jezus Marja! Sabino! Zapal lampę. Chłopcy Kazimierza? A gdzie rodzice? Skąd wy? O Jezu ukrzyżowany!

Zerwała się Jahołkowska, dwie córki, wpu-

szczono chłopców do izby. Tedy młodszy popadali na ziemię i posnęli, jak zgnane śmiertelnie zwierzątka, a Romek, słaniając się na nogach, plótł na pół przytomnie:

— My z Borek. Jakiś człowiek psami poszczuł. Ojca wyrzucili z wagonu, matka została, umarła gdzieś w szpitalu. My piechotą przyszli. Mystkowsy, dzieci Kazimierza. My byli już rewidowani sto razy. My Polaki.

Coś plątał, bełkotał, a wreszcie i on osunął się na ziemię i znieruchomiał w letargicznym śnie przemęczenia. Spali czterdzieści godzin, a gdy się ocknęli i zjedli — spali jeszcze dobę — i były to najlepsze ich chwile w tej ojczyźnie, do której wracali piechotą, jak do matki.

Gdy się obudzili do życia, dowiedzieli się, że w ich Borkach nie mieszkał żaden szaleniec, ani bandyta, ale legalny, prawny właściciel, sam pan komisarz ziemski, który ten folwarczek zajęty pod osadnictwo, sobie zatrzymał i twardo w nim siedział na mocy uchwał sejmowych i praw, świeżo obowiązujących w odrodzonej ojczyźnie.

Chłopcy nie rozumieli i siedząc u ciotki — czekali — bezradni, wycieńczeni i osłupieli. Gdy ich odziano i odkarmiono — zaprowadził ich Jahołkowski do starostwa.

Przyjął go starosta, pan Fagot, i przede-

wszystkiem spytał, czy zostali zarejestrowani, i czy posiadają dokumenty.

— Proszę pana starosty — odparł powolnie Jaholkowski — jak przyszli nie mieli nawet koszuli, więc i kieszeni nie mieli na dokumenty, a że są dzieci Mystkowskiego, to my wszyscy wiemy, boć ich znamy. Pohodowali się w Borkach na naszych oczach.

— A czy są w posiadaniu aktów zgonu rodziców?

— A skądże! Matkę, konającą, wywlekli bolszewicy z wagonu, a trupa ojca wyrzucili z wagonu na plant. Kości ich tam leżą, wołając o prawo dla sierot.

— Z tego punktu nie może być rozważana sprawa w urzędzie. Potrzebujemy papierów, dat i dokumentów. Prekluzyjny termin minął dawno.

— To kiedyż oni odzyszczą swą ziemię?

— Mówię panu, że termin minął. Sejm Rzeczypospolitej, popierając sprawę spolszczenia kresów i chcąc wynagrodzić żołnierzom krew przełaną dla zmartwychwstania Polski, obdarza ich ziemią bezpańską.

— A gdzież pan komisarz rolny tę krew przelewał i dlaczego ta ziemia bezpańska, kiedy oni czterej oto są, co na niej się porodzili i pohodowali.

— Może pan apelować do Urzędu wojewódzkiego, i do Głównego urzędu w Warszawie. Tylko, uprzedzam pana, że do odwołania dołączyć trzeba ważne dokumenty. Po pierwsze, plany majątkowe, po drugie, akty zejścia rodziców, po trzecie, zaświadczenie urzędu emigracyjnego, po czwarte ...

Tu Jahółkowski chwycił się za głowę i przerwał:

— Proszę pana starosty, szkoda fatygi mówienia. Przepadły u bolszewików plany, i żadnych dokumentów nie dostaniemy. Jestem człowiek pracujący, mam folwarczek, sześćdziesiąt dziecięcin — sam orzę i sieję — mam i swoją rodzinę. To tylko spytałem: jakże wychowam i wykształcę tych czworo sierot. Może pan komisarz rolny, co dostał ich Borki, udzieli funduszu na ich utrzymanie i naukę, bo inaczej co oni ze sobą poczną.

— Może pan złożyć podanie. Zresztą, jak sprawa osadnictwa zostanie sfinansowana — otrzymają zapłatę.

— No, a tymczasem — został im tylko Bóg! — rzekł Jahółkowski, prostując się i głos podnosząc. — Za dawnych czasów mieli ludzie Boskie przykazania i katechizm. A stało tam: nie kradnij i były tam grzechy, wołające o pomstę do Boga. Niechże te sieroty czekają Bożego sądu i prawa.

— Pan się ośmiela w urzędzie głos podnosić, i grozić państwowemu urzędowi. Czy pan wie, czem to panu grozi? — zaperzył się pan Fagot, i pocisnął dzwonek na biurku.

Chłopcy rzucili się do drzwi, mały Kazik zaryczał płaczem, a bojaźliwy z natury Tadzik pociągnął za połę Jahółkowskiego.

— Uciekajmy, ojcze. Komisarz każe nas rozstrzelać.

Wyszli — tedy Romek rzekł:

— Takie starostwo, to jak u bolszewików czerezwyczajka?

— Pleciesz. W Polsce nikogo nie mordują.

— I ten komisarz do żyda niepodobny — zdecydował Jacek, oglądając się jednak, czy ich nie gonią.

Tego dnia wieczorem, chłopcy wykradli się z Eljaszowa i przybiegli do swych Borek. Nie śmieli zbliżyć się do dworku, ale usiedli na górcie, gdzie niegdyś stał młyn, a teraz leżało tylko parę głazów.

Chłód był, szarość i deszcz mżył. Zbili się w gromadkę, jak pisklęta sieroce i patrzyli na swe gniazdo stracone.

— To już my nie wrócim do domu nigdy! — zachlipał Jacek. Romek siedział ponury, jakaś dojrzałość przedwczesna patrzała mu z oczu i ściągniętych uparcie ust.

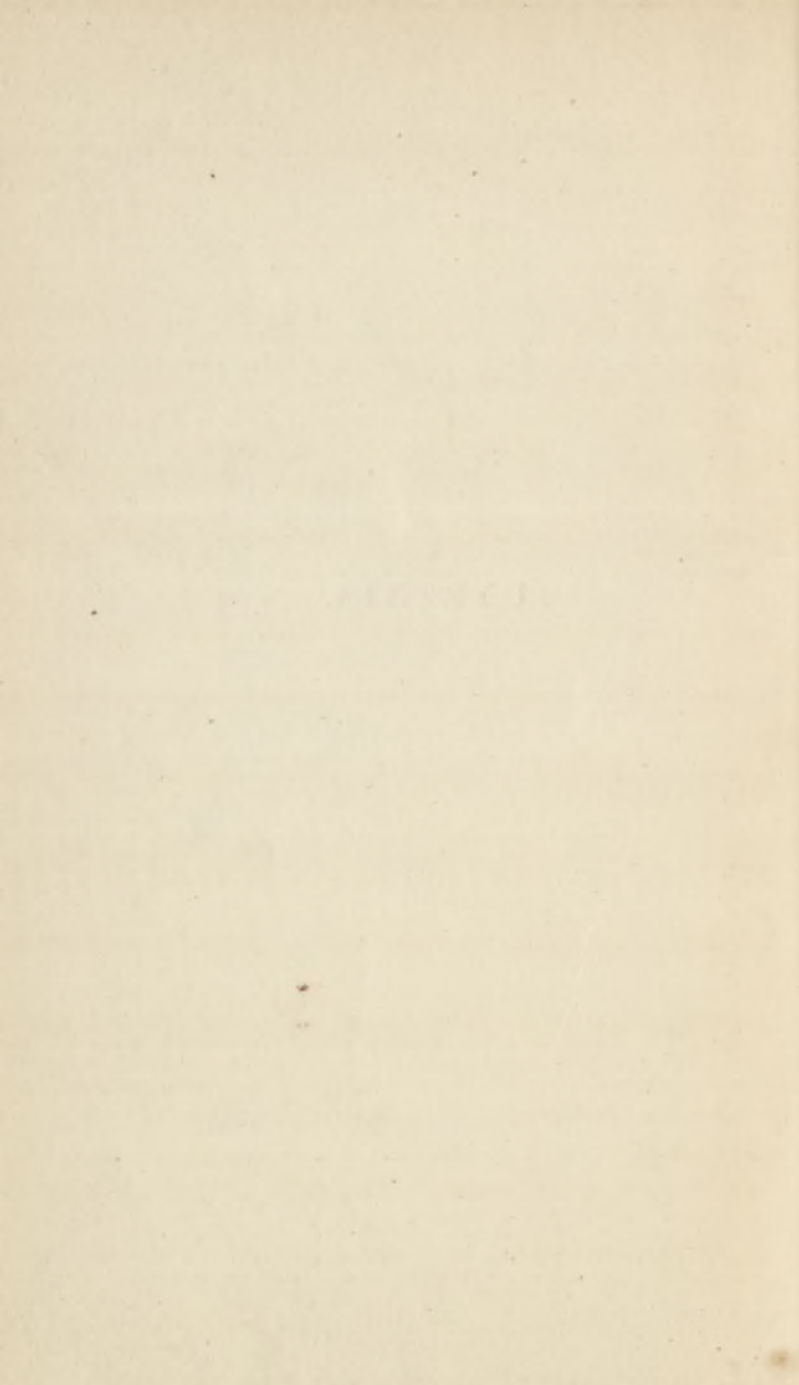
— Słyszeliście. Zabrali nam ziemię i dom! — mruknął.

— To jakże my będziemy żyć, jak uczyć się. U wuja na łasce.

Romek milczał. Młodszy płakali. Przed nimi, z górki widoczny, leżał ich dworek. Światło błyskało w oknach, czekały psy, skrzypiał żóraw studzienny, ktoś gwizdał w sadzie pełnym dojrzalego owocu, na wygonie parskwały pasące się konie.

Na skuloną, deszczem i chłodem przejętą gromadkę dzieci zapadała długa, posępna, jesienna noc.

JUTRZNIA.



Mazurska płaszczyna leżała w mroku jesien-
nego wieczoru. Na dalekim horyzoncie czer-
wieniała luna pożaru i szedł stamtąd w ciężkiem,
wilgotnem powietrzu, jakby jęk, jakby łkanie,
jakby dyszenie gasnącego życia.

Tu bliżej było już cicho, spokojnie. Na wzgórk
wiatrak stał, jak szyldwach, jedyne swe skrzydło,
jak upiorną broń podnosząc ku niebu, tuż obok
czerniały zgłiszcza młynarskiej chałupy.

Opodał czarną plamą więzi drzew bezlistnych
dwór się siał, bez światła, bez głosu i ruchu. Wieś
ciągnęła się długą linią z obu stron drogi, ale nie
wieś to już była, lecz rząd białych kominów, co
wyglądały w mroku, jakby szereg chłopów w bie-
liźnie, skamieniałych ze zgrozy i bezradności
wobec ostatecznej ruiny. Naprzeciw wiatraka,
jak drugi szyldwach, stał kościół. Bez szyb
w oknach, z potrząskanym dachem, z wyrwami
od pocisków w ścianach, uchował tylko cudem
dzwonnicę. Sterczała też ku niebu, jak drzewce
od sztandaru.

Na rozstaju za wiatrakiem ostała się też nie-naruszona figura, rozpięcie Męki znacząc na chmurnem niebie. Mrok gęstniał, luna gasła, jęk cichł w wilgotnem, nocnem powietrzu.

Dzień klęski kończył się — minął dzień ognia, krwi i przerażenia. W śmiertelnej pustce scho-dziła noc.

Żaden głos, żaden ruch, żaden blask nie oka-zywał, że tu zostało życie.

I oto przemówiła dzwonnica. Zachrobotło w niej, zastękało — i serce dzwonu ożyło, uderzyło w stary spiż. Najbliższy sąsiad, młynarz Jóźwi-kowski, wypełził z kryjówki pod wiatrakiem, a za nim wysunęły się jego dwie córeczki, pięcio-i siedmioletnia. Młynarz się rozejrzał, nasłuchi-wał, wreszcie ruszył ku kościołowi, warcząc prze-kleństwa. Dziewczynki dreptały za nim bez słowa, śmiertelnie wylękle. Dzwon już nabral tchu i rozmachu, spiż wołał coraz donośniej.

Młynarz wszedł w ciemną czeluść dzwonnicy i krzyknął: — Nie dzwonić! Niemcy za sygnał to wezmą i wrócą! Nie dzwonić! Oszaleliście dziadu! — Chwycił za czarną postać u sznura, ale wnet rękę cofnął.

— Proboszcz sam dzwoni!

— A sam — odparł zdyszany głos — kościelny z wikarym groby kopią. Dziś jest Matki Boskiej

Bolesnej i niedziela. Nieszpór być musi. A jak Niemcy dzwon posłyszą i wrócą? To ja tu gospodarz. Pan w kościele nie bywa, to pana nie zaczepią.

— Mnie o siebie nie chodzi, bo nic mi nie zostało.

— Rany Boskie! — krzyknął ksiądz i sznur puścił. — Dzieci panu pobili!

— Dzieci żywe, ale dom spalony, wiatrak zniszczony.

— Gdzież dzieci?

— My tu! — zapiszczał głosik — i dziewczyniny podeszły do księdza.

— No, to dzięki Matce Boskiej — odsapnął proboszcz i znowu za sznur ujął.

— Niechta ksiądz pozwoli. Ja to lepiej potrafię.

Gdyby w dzwonnicy nie było tak mroczno, ujrzałby pan Józwickowski na twarzy proboszcza uśmiech zlekka szyderczy; ale nie wyraził swych myśli, sznur oddał, odsapnął, odkaszał, otarł czoło spocone i pochylił się do dzieci.

— Polękałyście się, skrzaty? No nic, przeszło, nie chlipcie, nie pociągajcie nosem. Chusteczyny macie ciepłe, obuteście. A głodne?

— W jamie pod wiatrakiem tatuś chleba pochował i słonina jest i cukier! — zaczęła opowia-

dać starsza, a młodsza dodała: — Kura jedna jest, a Burka to zabili!

W drzwiach dzwonnicy ukazało się kilka postaci: dwie baby, trzech wyrostków.

— A na co to dzwonicie, Jacku?

— Na nieszpór — huknął ksiądz.

— Olaboga! sam dobrodziej! A powiadali wczoraj, że dobrodzieja uwiedli, rozstrzelali.

— Było tam coś niecoś, ale niema co gadać. Kto tam, bo w mroku nie dojrzę. Wawrzonowa?

— Ja i Józefowa Kołaczkowa i chłopaki od Karaska. W kartoflowych dołach siedzieliśwa, aż słyszymy dzwon, tośmy wyleźli. O Jezu Jezu-sieczku, a to niema naszej Jawornicy.

— Niema — to trza, żeby znów była.

— A chłopcy gdzie?

— Mojego z podwodą wzięli, już dni dziesięć.

— Mój kędyś krowy w las pognął. Pewnie go tam ubili!

— Cicho kobiety! Przestańcie dzwonić, na nieszpór czas.

Z mroku od rumowisk ściągało więcej ludu. Do kościoła weszła już spora gromadka. Gwarzyli mało, z cicha, stłumionym jękiem, szlochem, ale na progu umilkli wszyscy. Kościół służył za postój żołdactwa, aż ich stamtąd armaty wy-

gnały. Na posadzce pełno było słomy, siana, końskiego gnoju, puszek od konserw, szkła z potłuczonych szyb, rumowiska murów, tynków, potrzaskanych ławek, ołtarzy — straszna ruina. Ołtarz główny ocalał. Palila się przed nim lampa i widać było, że proboszcz, ile mógł, uprzątnął sam i oczyścił miejsce dla trzech trupów żołnierskich, leżących rzędem przy barjerze obsady.

— Żałobny będzie nieszpór — rzekł proboszcz. Wtedy z tłumu wyrwał się pomruk mściwy: — Miemce!

— Nie. Swoi! — odparł ksiądz. — Dysponowałem jednego na śmierć, — dwóch miało szkaplerze, nazwiska znalazłem przy nich. Swoi są!

Nikt nic nie rzekł. Ksiądz ruszył się do ołtarza, gromadka za nim. Ze dworu wciąż napływali inni rozlegały się zgłuszone okrzyki zgrozy i żalości. A w tem ukazał się i wikary z kościelnym. Zapalono świece, rozpoczął się nieszpór. Lud zcichł, zasłuchany, zahypnotyzowany żałobnym pomrukiem psalmów. Ten dwugłos od ołtarza mówił za nich, do Tego, co wszystko słyszy. Przez okna bezszybne, przez wyłomy murów wicher tylko wtórował. Dawidową skargę powtarzała każda dusza, każde serce, zburzona świątynia, spalone ludzkie gniazda, ziemia zniszczona, wszystkie sieroce i wdowie serca, bólem wielmożne.

Pan Jóźwikowski niedaleko drzwi się zatrzymał, dzieci przykucnęły mu u nóg i posnęły zmorzone. Ludzie nie zagadnęli go, ani się zbliżyli, każdy swoją troską zajęty, a zresztą we wsi przyjaciół nie miał, choć od dziesięciu lat kolonję z wiatrakiem kupił, potem przy chałupie sklep kolonjalny założył i trzymał stronę wsi przeciw księdzu i dziedzicowi we wszelkich sporach i kwestiach sąsiedzkich i gminnych. Wtem usłyszał pan Jóźwikowski za sobą prędkie kroki i pośpieszne oddechy. Obejrzał się. Dziedzic to był, siwy tęgi mężczyzna i dwóch paniczów wyrostków. Zmoczeni byli, obdarci, bez czapek. Pokłękali na chwilę, ale dziedzic długo nie wytrwał, wstał i rzekł szeptem:

— Dzieci trzeba do gromady odesłać, co się tu nam mają płatać i pisać. U mnie tego już ćma jest w czworaku. Jasiek odprowadzi i wasze, dobrze?

— Dziękuję panu. To dwór ocalał?

— Ano, ściany stoją niektóre, bez szyb. Zresztą zabrali konie, bydło, spalili stodołę, rozgrabili co mogli. Miejsca dla tych, co zostali, starczy. Od trzech godzin znosimy z chłopcami rannych. Żona z córkami opatruje i poi, bo trochę herbaty kobiety schowały. Posłyszałem dzwon, przybiegliśmy, myśląc, że ksiądz wzywa ratunku, a on jak-

by nic, nieszpory odprawia. Plebanja bez dachu, letnia altanka. Kościoła szkoda; takeśmy go wyrestaurowali w zeszłym roku. No, cóż robić. Jasiiek, zabieraj dzieci, może po drodze jeszcze więcej po dołach kartoflanych odszukasz. My tu zostaniemy, trza się z księdzem rozmówić. O, chłopcy się ściągają na dzwony. Rada zaraz będzie. Dwugłos u ołtarza zcichł. Kanonik ukazał się w kapie i zawołał na cały kościół:

— A teraz chrześcijańską pierwszą posługę owym nieszczęsnym braciom oddamy. Zanieście ich do poświęconej ziemi, by spoczęli.

Po chwili szeptów i popychania orszak się złożył. Wzięli chłopcy zabitych, ogarnęli ich w szyniele, ponieśli. Kilka świec zamigotało, rozległ się żałobny śpiew, wysunął się pochód na cmentarz do świeżych dołów, zadzwoniły o żwir łopaty.

„Anioł Pański“ zaintonował kanonik i odpowiedziały wszystkie głosy, z wyjątkiem dziedzica, który mruczał w wąsy: — Klecha oszalał. W taki czas zabawia się w ceremonje.

Ale przecie skończono ostatnie modły, więc pociągnął księdza za kapę i rzekł: — Proszę kanonika z sobą do dworu i księdza wikarego też. Może jakie rzeczy z plebanji zabrać, to Staś z końmi przyjedzie. Uchowaliśmy cztery szkapy z czterdziestu i furgon.

— Dziękuję, dziękuję. My musimy do rana, do jutrzni kościół wyprzątnąć. Wprawdzie Pan Jezus w stajni się urodził, ale Sakrament w stajni nie będzie gościł. Jak chcecie pomóc, to niech pan Staś taczki mi przywiezie i parę szpadli.

I zawrócił zamasyżście do kościoła, za nim wszyscy.

— Co się kanonikowi śni, — wołał dziedzic — toć tu na dziesięciu chłopów, na dwa dni roboty.

— Co się śni, to się śni, a ja tu pospodarz i do roboty staję. Kościelny przyniesie pochodnie i lampki, żeby trochę ćmę rozegnać. Idźcie ludzie, do biedy waszej, idźcie kobiety, do dzieci.

— Co ta po nocy zrobimy? Zresztą nic nie ostało. Bieda z nami! — bąknął jakiś chłop.

— Dziecka na dworze śpią! — stęknęła kobieta.

A Jóźwikowskiego, jakby coś targnęło. Wziął do rąk jakiś kawał deski i począł śmiecie zsuwać na kupę.

— Staśku, duchem po taczki i szpadle! — rzekł dziedzic do syna. A potem odsapnął, stęknął, spojrzał wokoło. — Chrzčili nas tu, ślubami wiązali, co niedzielę kanonik sumienie roztrząsał, co rok najjinniej Sakramentów udzielał. Ile to już lat, kanoniku?

— Będzie czterdzieści na Gromniczną, jakem tu zjechał.

— Tu poczynamy, tu kończymy! — rzekł chłop.

I wzięli się wszyscy do roboty. Kobiety zbierały gruz w fartuchy, mężczyźni dźwigali cięższe rumowisko, zasapany ksiądz komenderował, a dziedzie stowarzyszył się z Jóźwikowskim i zrazu zcicha, a potem coraz głośniejsze dowodził:

— Niema co, szpetnie nas urządzili, ale co tu pomoże desperować. Czytało się o wojnach, ano przyszło i samemu po łbie dostać. Musicie się radować, panie Jóźwikoweki: dworu niema, plebanji niema...

— Ano pewnie, ale w tem sprawiedliwości niema. Powinna była ostać wieś i moja osada, a tak, to dwóch żebraków mniej czy więcej — bajki!

— To myślicie na żebry iść?

— No, a co? Nie będę przecie z chłopami trupów obdzierał, albo końskie padło łupił. Te chamy zbgacieją z wojny.

— Zbgacieją i ci, co na żebry pójdą. Świat wielki i ludzie dla jęczącej niedoli czule serca mają. Zbierzecie grosz, panie Jóźwikowski. Ja wam pierwszą ofiarę dam. Dziewczyniny wasze we dworze ostawcie. Dzieci niech nie żebrzą.

No, naprężcie plecy, we dwóch dźwigniemy ten bel.

Wynieśli na cmentarz ułamek belki i odpapnęli chwilę. Dziedzic zapalił papierosa, Jóźwowski patrzył na daleką lunę.

— Psie krwie, cholera! — warczał. — Pana też na glanc zniszczyli. Teraz panu żal, że pan parcelacji nie chciał dwa lata temu.

— Nie żal. Dla chłopców dobra szkoła będzie. Na żebry mi nie wolno iść, zostać musimy, niech głowę łamią, jak wytrwać.

Na drodze zatrzymał się furgon. Panicze wyładowali zeń taczki i szpadle, w ciemności zapiszczał kobiecy głos.

— Tatusiu, przywieźliśmy chleba i herbaty dla księży i tych, co tu robią.

Zamigotała latarnia, parę postaci wynurzyło się z mroku, panicze zmieszali się z pracującymi, panienska rozstawiła w kruchcie kosze i dzbany. Zaczęła się ożywiona gawęda przy posiłku.

— A co! — huczał kanonik — za parę godzin kościół będzie uprzątnięty i rano odprawimy jutrznię. Siła w nas jest? co?

— Mamusia wszystkich prosi do dworu na posiłek. Już trzy kotły rozkarmiliśmy i znowu warzą. Dzieci śpią, kobiety rajcują. Taki u nas tłok, jak na odpuszcie. — I śmiała się. A ten

śmiech jakby zarazą przeszedł po znękanym tłumie. Zawtórował basem kanonik:

— Jeszcze na złość Szwabom radosną Jutrznie odprawię. Bo to tylko uważcie, ludzie, co to za dobra rzecz, ta wojenka kochana. Pan Jóźwikowski dzwonnikiem jest, panicze gnój taczują, dziedzic ochronę ufundował, panienka kartofle obiera, dziedziczka w kotle warzy, chłopcy po polu szwabskie szkapy łapią, baby z sąsiadkami się swarzą, chłopaki i w nocy bydła po ha-szczach pilnują. A wszyscy pospołem — wiecie, co my zrobimy?

— Odbudujemy wszystko na nowo! — rzekł dziedzic.

— Amen! — potwierdził kanonik.

— Oj, ciężko, oj krwawo! — zajęczał jakiś głos — ni szmaty, ni statku, ni bydłęcia, ni węgla!

— Ale nas siła! — bąknął Jóźwikowski.

— To pan już nie idzie na żebry? — zaśmiał się dziedzic.

— Co? Za dziada miał być pan Jóźwikowski! — krzyknął kanonik.

— Nie pozwolimy. Żywej duszy nie uwolnimy z Jawornicy. Każda głowa potrzebna do rady, każda para rąk do roboty. Nie trza do Hameryki iść, ani do Szwaba wolno. Tu, tu — nogą w ziemię tupnął! — tu trzeba wszystkim być.

Jakiś głos z tłumu się odezwał, silny głos młodego chłopca: — Porównał Pan Bóg góry z dołami. Że będzie równiusieńko!

— A tak, — śmiał się kanonik — Wstyd powiedzieć, ale trzeba powietrza, głodu, ognia i wojny, żeby swarliwe nasze gęby pozawierać i hultajskie ręce do roboty zmusić. Kochana wojenka, zacne Szwaby! No, ludzie kochani, kończmy! Jak dom Boży oprzątniem, poradzimy o jutrze znojnem. A kto tam bieży?

Przez wyłom parkanu wypełził cień drobny i nieufnie przystanął. Słysząc było, że dyszał ze zmęczenia. Na głos księdza przyskoczył.

— To ja, Franek. Czy Niemcy już poszli?

— A ty gdzieś był?

— Z krowami w las uciekliśwa. Ja i Józek.

— A ileście uratowali?

— Kanonickie trzy i Kacprów i Błażejów i młynarską, i Karasków jałoszkę. Gonili nas Niemce i strzelali, aleśmy w haszcze zapadli i do tej pory przeleżeli. Józek nogę wykręcił na wykrocie, to mnie posłał, coby się do wsi dowiedzieć.

— Naści chleba i sera, zjedz i wracaj. Pójdzie z tobą mój młodszy i Stacho Karasek, to Józka we dwóch do dworu przyniosą, tam mu nogę naciągną. A ty rankiem krowy bliżej dworu podpędź, to je kobiety podoją, dzieci mlekiem po-

karmią, a potem znowu je w las chowaj. Paszy im tam dostarczymy ukradkiem. — Dziedzic tak skomenderował, i młodszy panicz nie śmiał się odezwać z protestem, że jak żyje, w taką émé i porę po lesie nie chadzał. Obejrzał się na Stacha Karaska i poszli, a dziedzic dodał: — Jeśli ta nawala resztek mi nie rozgrabi, to paszy dla tych kilku sztuk przez zimę starczy. Ochronka będzie miała mleko! — zaśmiał się do kanonika.

— Mówię wam: kochana wojenka, zacne Szwabcy. Nie będą dworscy wsiowego bydła fantować, jeszcze je wyżywią. A Jawornica jak była tak i będzie.

Ludzie się wzięli znowu do uprzątniania rumowisk. Jakiś prąd mocy powiał po duszach, chrobotwały zajadłe łopaty, szparko toczyły się taczki i śmielszy szedł rozhovor.

— Kartofle tom tak zakopał, że i djabeł nie odnajdzie. Trochę szmat też kobieta ukryła.

— Za podwody czasem dostaje się kolbą po grzbiecie, ale czasem można i zarobić.

— Zostawili u Szopów trzy konie, jak smoki poranione, kalekie, za darmo. Jeden ostanie, wart brat bratu trzysta.

— Za karabiny płacą po sześć rubli. Jak się uda, to i tuzin można znaleźć.

— Do roboty przy fortach, dobrze płacą.

Słyszał te mowy i kanonik, i dziedzic i Józwiowski, słyszeli i te cichsze szepty o trupach, o grzebaniu, o butach, o złotych markach... Milczeli, unikali się oczyma.

Nagle dziedzic spojrział mocno w oczy Józwiowskiego i rzekł z cicha a dobitnie:

— Słyszysz pan ich?

— Słyszę.

— No?

— Co robić. Odarci, obdzierają.

— Pójdiesz pan z nimi?

Józwiowski głową potrząsnął.

— Ani ja. Uważa pan, dlategośmy też dla Jawornicy potrzebni. Rozumiesz pan?

— No przecie.

Wzięli się znowu do roboty. Po posadzce kościelnej chrobotwały już miotły, stał dom Boży pusty, zniszczony, ale czysty już, i kanonik z wikarym rozglądali się, jak gospodarze, radząc, od czego naprawę zacząć.

— Skończone! — zawołał dziedzic.

— Ho, ho, ho — zaprotestował kanonik. — Stajnię uprzątnęliście, a teraz dom Boży trza odbudować. Powiedzieliście: Jawornica będzie Jawornicą. Pan Jezus słyszał i czeka też na wasze głowy i ręce.

— No, chodźmy na radę do dworu.

Gromadka ludzi ruszyła ulicą wiejską. Na widok szkieletów osad znikli znowu. Przytłoczył ich ogrom klęski, ogrom pracy.

Wkroczyli w obejście dworu, mijali pogorzel folwarku, zwały wysady i parkanów, zabłysło światło w oknach domu i weszli w sień, pełną ludzi zbiegłych. Z bocznych pokoi rozległ się jęk rannych. Zrobiono miejsce nowoprzybyłym, podano im misy jadła. Skupili się do księży i dziedzica starsi gospodarze, uczyniła się pierwsza rada,

Jóźwikowski rozglądał się i milczał. Pierwszy raz był we dworze i czuł w sobie wielkie zażenowanie. Zdało mu się, że każdy pamięta wszystko, co przez dziesięć lat przeciw tym panom wygadywał. Głodny był i zmęczony, ale nie sięgnął do jadła, ani się do rozmowy nie mieszał.

Drgnął, gdy poczuł na ramieniu ciężką dłoń dziedzica.

— Dobrze? Pojedziesz pan?

— Gdzie? Po co?

— To pan zasnął. Radzimy, żeby kto do miasta ruszył furgonem po sól, naftę, kaszę i co tam się znajdzie. Sto rubli daję i koniec. Bierzcie się do roboty.

— Owszem, jadę.

— Przedewszystkiem zjedz pan i spocznij do rana.

— Ranek już tuż! — rzekł kanonik, wstając.

Wyszli przed dom. Ciemność już ustępowała i łuny pożarów gasły. W szarości jesieni leniwie, gdzieś, niewidzialne w chmurach i dymie wstawało słońce. Jedna ciężka noc minęła. Ci, co ją spędzili bez snu, stanęli teraz, i patrzeli jakby zdrętwiali na ruinę: kanonik, dziedzic, Jóźwowski, kilkunastu starych gospodarzy. Przed oczami występowała ich Jawornica, jak jedna rana na ziemi ciełej.

— Od czego począć? — odezwał się stękliwie jeden ze starych chłopów.

A wtem ciężkie powietrze rozdarł dźwięk i przewalił się głucho po ziemi.

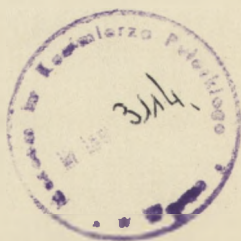
— Dziad na jutrznię dzwoni! — ruszył się iść kanonik. — Mówilem wam, że będzie radosna jutrznia.

— Owa — radosna! Dobrodziej se szydzi z biedy.

— Mówię prawdę. Nie radosna, kiedy nas taka siła i zgodnych? Nie słyszycie, jak dzwon gada: som my — som my!

— To pójdźwa. Była Jawornica, to i będzie. Juści nie ten będzie, co popsuł, ino ten, co zbuduje. Idziewa!

ŚWIĘTEK.



Kapliczka stała przy drodze szerokiej, piaszczystej, przerzynającej płaski pusty kraj.

Była murowana, z daszkiem na słupach i stał w niej, a raczej siedział Świętek. Był tak stary, jak ten kraj i zastąpił zapewne jakieś leśne bóżyszcze — w czasach zamierzchłych, gdy tu stały bory, a w nich się kryli ludzie.

Kogo przedstawiał, nikt na pewno nie wiedział. Były legendy, że kiedyś przemówił: „Ojcze! dla czegoś mnie przysłał, do tak smętnego kraju i do takich głupich ludzi.“ Więc utrzymywali jedni, że był to Jan Chrzciciel, a drudzy, że to Syn skarżył się Ojcu, ale zresztą nikt nie wiedział, bo to było bardzo dawno. Postać była bezkształtna, z jakiejś niespożytej bryły drzewnej, koloru burego jak niebo, ziemia i odzież mieszkańców. Nie było znać rysów, tylko postać siedzącą bez rąk, ze stopami jakby wrosłymi w ziemię. Podobno w jakichś zamieszkach — jacyś najeźdźcy ręce obcięli — tak opowiadały matki dzieciom, a Świętek wrastał w ziemię, aż zniknie.

Trwał jednak jeszcze, gdy opodał na widno-
kręgu zaczęły przebiegać pociągi kolei żelaznej,
a piaszczysty trakt zamieniono w bitą i żwirowaną
drogę.

Zastała go jeszcze Wielka Wojna.

Jakieś wojska spaliły daszek — inny oddział
obmotał figurę drutem telefonu, a wreszcie zwa-
lono i figurę. Została kupa kamieni z muru i miło-
sierne chwasty uczyniły, nad tym zniszczonym
symbolem, zielony wzgórek. Nie było Świętka.
Wracający z wygnań, wysiedleń, z bojów, ludzie
już go nie zastali i nikt ani pomyślał, aby go
wskrzesić w innej, nowej formie. Przedstawiał ideę,
która w powojennych nowych prawach — nie
miała już miejsca, i której nowi ludzie nie po-
trzebowali. I oto stało się, że pastuszek, znudzony
bezczynnością — znalazł opodał wzgórką z chwa-
stów gniazdo skowrończe z czworgiem piskląt,
ledwie upierzonych. Zaczął się nimi „bawić“,
to jest podrzucał w górę i śmiał się na rozpaczliwy
lament, krążących w powietrzu rodziców, i pisk
konających niedorostków.

Jedno wpadło między zielsko — spojrzał tam,
znieruchomiał, wrzasnął i popędził do gromadki
kolegów opodał.

Zdyszany, ręką wskazywał i wołał:

— Widzieliście?

— Co?

— Tam ktoś siedzi!

— Gdzie?

— Tam — w tych chwastach.

— Zając? Lis?

— Nie! Jakby człowiek.

Przybiegli gromadą. Na ostach i łopianach
latały pszczoły, ćwierkały świerszcze.

— Toć nikogo niema.

— Był — taki szary jakiś — i patrzył na mnie.
Widziałem — oczy miał jak kwiaty lnu.

— Głupiś! Wódki gdzieś dostał! Powiedz!

— Widziałem — siedział z rękami na kolanach,
jakby odpoczywał — i patrzył!

— Wymyśla! Wal go!

Rzucili się nań i zbili.

We wsi śmiano się ze trzy dni, a potem zapomniano. Ale w jakiś czas zdarzył się wypadek z Kasią. Była to włóczęga, takie nasienie chwastu wzrosłe przy drodze. Dwa razy była ciężarną i wracała do wsi bez dziecka. Kobiety pluły na nią. I oto, pewnego letniego popołudnia, znaleziono Kasię w jakiejś szopie rozwalonej, z dzieckiem żywym, okręconem w liście łopianu. Patrzyła przed siebie błędnie i po wymizerowanej twarzy toczyły się łzy. Jakaś stara baba dała jej parę szmat i mleka, i powoli wyciągnęła na zwierzenie.

Czyje dziecko? Nie wie. Gdzie urodziła? W zbożu. I chciała zakopać jak tamte. Bo jakże da rady! Skąd weźmie mleka. Piersi puste. Na żebry nie pójdzie. Nie ma sił.

Więc zaczęła dołek rękami grzebać — aż tu chomik zaświstał i z pod nóg jej szmyrgnął w chwasty przy drodze. Przełękła się, a tu i dziecko zapiszczalo, więc zakryła mu twarz dłonią i obejmowała się, czy kto nie nadchodzi. I wtedy zobaczyła coś — sama nie wie co. Jakiś szary kształt — jakby pień szary. I to patrzyło na nią. Patrzyło takimi niebieskimi oczami, a tak jakoś, że się w niej wszystko zatrzęsło w środku, i nie mogła już nic innego zrobić, tylko zabrała dziecko, owinęła w liście i uciekła.

— Straszna była zjawą. Złękłaś się?

— Nawet nie. Wstydno było i płakać się chciało.

— Nu, dziwo! — trzęsła baba głową i poszła kumoszkom dziwo opowiadać.

Gadano, gadano, aż wreszcie się dogadano, że Kasia wymyśliła historję „z chytrości,“ bo dzięki temu, coraz jakaś kobieta niosła coś dla „bękartu,“ a ludzie dawali włóczędze robotę, choć była i len i niesilna.

Tak ta historja doszła do uszu droźnika przy szosie, który miał budę o wiorstę od wsi, i wstępował czasem po zakup chleba i kartofli.

Człowiek był „z wojny.“ Nakuliwał na nogę, brakło mu dwóch palców i kaszłał. Był samotny i dziwnie milczący. Swój rewir szosy utrzymywał starannie, a gdy zwieziono kamienie na remont, zaczął je tłuc, posuwając się od pryzmy do pryzmy, coraz bliżej wzgóрка z chwastami. Przechodzący pozdrawiali go, i czasem zatrzymywali się na pogwarke. Wstępowała też czasami do budy „pani z Kudry“, jak zwano w okolicy spokojną warjatkę — niegdyś obywatelkę, repatryjantkę z Rosji.

Gdy rozeszła się gadka o zjawie, droźnik wzgórek przeszukał.

— Skarbów szukasz! — roześmiała się „pani z Kudry“, stając za nim. — Nie znajdziesz! Tam kiedyś figura była, chrześcijańskiego Boga. Teraz już go niema — nigdzie.

Popatrzyli sobie w oczy.

— To dziwne, że jeszcze cegły nie zabrali! — bąknął.

— Zabiorą.

— Nie dam. To w moim rejonie.

— To lepiej chwasty uprawiaj, co ją kryją. Wszystko zabiorą — wszystko. Nic z tego, co było nie zostanie.

Droźnik wrócił do swej roboty przy kamieniach, a ona poszła w pole coś mrucząc.

Jakoż chłopci zaczęli na wzgórek zaglądać i do cegieł się dobierać. Drożnik zabronił i raport złożył, ale z urzędu otrzymał odpowiedź, że gruz przydrożny może być oddany do miejscowej ludności na potrzeby odbudowy. Uśmiechnął się czytając papier — i już nie bronił. Ale chłopci znaleźli cegły zwietrzałe, rozgrzebali z wierzchu, do jakiegoś drewna i zaprzestali. Nie opłacało się.

I znowu, w jakiś czas potem, gruchnęła nowa bajka.

Osadnik z Kudry widział zjawę. Było to na zimnej jesieni. Wracał z jarmarku o zmroku i błądząc wstąpił do budy drożnika.

— Nie macie wódki? — spytał.

— Nie! — odparł milczący człek, nie przerywając obierania kartofli na wieczercę.

— Zestraszyło mi coś konia. Coś szarego przy drodze. Człowiek czy pień! Człowiek chyba, bo patrzało. Jakieś oczy czy niebieskie ognie! Dajcie choć wody.

Paru chłopów, co wstąpili po ogień do fajek, spojrzeli po sobie.

Osadnik wypił wody i chwilę jakby się namyslał.

— Psia krew! — zaklął. — Taki mi się dzień udał. Ta baba mnie też spotkała. Wlekło się to wpół żywo i coś skamlało. Jakbym co winien był,

że siedziała u Moskali — jakim tu za Ojczyznę krew lał!

Zapalił papierosa i do drzwi się skierował.

— Przekłęty, podły kraj. Wlazłem na robactwo i błoto! Żegnam pana.

Wyszedł, ale raz jeszcze zajrzał.

— Nie będzie dziwa, jak pan umrzyka z baby, znajdzie jutro przy jakiej przyzmie szabru.

Drożnik naciągnął kożuch, wyszli z nim i chłopi.

— Daleko była? — spytał odjeżdżającego osadnika.

— Przy zawrocie do wsi! — krzyknął, konie zacinając.

Późną nocą drożnik przywłókł „panią z Kudry“ i odegrzał przy piecu. Rano powlekła się znowu, choć jej nie wypędzał.

Ale nawykła zachodzić do budki; siadywali często wieczorem w mdłym świetle lampki i milczeli. On fajkę palił, ona patrzyła błędnie w płomień. Nie mieli żadnych spraw przed sobą, a za wiele za sobą.

Czas się kolebał leniwie w tym zatraconym kraju. Wsie się odbudowały, zagony uprawne znaczyły coraz szersze wstęgi wśród chwastów i zagajów. Przyrastało bydła po pastwiskach, na szosie coraz częściej turkotały wozy.

Droźnik swoje robił; kamienie tłukł — wysady pilnował, starannie szabrem doły równał — tylko przy budzie nic nie sadził ni siał i jednakie miał na sobie łachmany. Gadano, że skąpy i pieniądze zbiera i chowa.

Nawet przemysłni parobcy kiedyś, gdy był daleko na linji, budę jego dokumentnie przetrzęśli, ale nie pożywili się, bo nawet odzieży i butów zapaśnych nie miał — więc zabrali tylko blaszane wiadro,¹ brzytwę i lusterko. Gdy obejrzał rabunek i stratę, ani opowiadał o niej, ani meldował.

— Podobno okradli was? — spytał go znajomy chłop.

— U mnie niema już nic do wzięcia. Byli Stefan z Romanem, wiecie?

— Skądże! Uchowaj Boże! — bronił się chłop.

Droźnik popatrzał na jego bolszewicką „pachę“, uśmiechnął się.

— Powiedźcie im, że mój majątek przy sobie noszę. — I, założywszy okulary z siatki, dalej łupał kamienie.

Wiadomość poszła widocznie pod dobrym adresem, bo pewnego ciemnego wieczora, gdy ze wsi wracał, dwóch ludzi wyskoczyło z rowu i rzuciło się nań. Wtedy jednego pięścią odtrącił, a drugiego na ziemię powalił i zdławił, aż mu pod

kolanem znieruchomiał, pierwszy ogłuszony ciosem broczył krwią.

Zwycięzca się wyprostował.

— Dobić! — zawarczała krew.

Ale tylko nogą powalonego kopnął i poszedł. Gdy mijał pagórek chwastów, stanął.

— Zabiłem! Czemu nie patrzysz? — zamruczał. Ale tylko wicher, targający zeschłe badyle, mu odpowiedział.

Zimą zaszły dwa wypadki: spalił się folwark w Kudrze i „stara pani z Kudry“ umarła. Osadnik gdzieś się ulotnił, zapewne starał o zapomogę. Chłopi gadali, że stara podpaliła, ale nie mogło to być, bo była tak słaba i bezsilna, że nie zdążyłaby uciec od pożaru, aż do szosy, gdzie ją nazajutrz znaleziono dogorywającą.

Droźnik z wiosną wysadę zniszczoną dosadzał i przy tej robocie znalazł go młody, porządnie ubrany przechodzień, idący od stacji kolei do miasteczka. Spojrzał na pracującego i stanął.

— Czy pan nie Machniewicz? Zagadnął.

Droźnik oczy podniósł i szukał w pamięci.

— Wicek Skrzach! — bąknął zdumiony.

— Gdzie się to kolegi nie znajdują. Dajże pyska!

I uścisnęli się po bratersku.

— Co ty tu robisz?

— Ano, droźnikiem jestem.

— Inwalida?

— Jakoś daję rady.

— Łapa odmarznięta, płuca przestrzelone, dwóch palców brak, na oku skaza. Toś morowy chłop, żeś tam nie ostał. Jakeśmy w tym świńskim szpitalu leżeli — nie było nadziei życia.

— A tyś jak się wyrwał?

— Zwiąłem — jak się Mochy wściekły. Wla-
złem do wagonu. Darmo dojechałem do granicy,
Szwaby leguna puściły — wróciłem do kadry.
Godziny trza prawić, jakie były hece i termedje.
No, a ty?

— Mnie za szpitalem Mochy zawlekły pod
Ural. Chciałem też zmykać do siebie, ale za da-
leko. Zawszem wpadł. No a wreszcie dorwałem
się do swoich, co się zbierali na Syberji.

— Aha, i z Syberyjską dywizją wróciłeś. No
— aleś ty burżuj był, pamiętam. Jakieś dobra
starzy mieli.

— Pomarli! Jeszcze Niemcy domęczyli. A fol-
wark na osadnictwo zajęto. Spóźniłem się.

— Aha! A inwalidzkie prawa? Nie starałeś się?

— A zaco? Zostałem przecie w łachmanach,
boć i mundur trzeba było oddać.

— Ee — zawsześ był fajtlapa. Teraz, bracie,
trza pięścią, zębami, nogami przepychać się, w
świecie. W tobie burżujka krew!

— Trudno! Krwi nie zmienić. Jak jedna rana mi zeszła — nowa taka sama w żyły napłynęła. Jeszczem rad, że dostałem posadę — i tu mogłem zostać — w swoim kraju!

— Co prawda, kraj to najpaskudniejszy jaki w życiu widziałem! Ale ty — morowy kompan byłeś, i ja cię za uszy z biedy wywelekę. Chodź do budy, pokaż mi swoje papiery. Nauczę cię jak podanie ułożyć, podpiszesz i wezmę ze sobą. Przekonasz się, że za parę miesięcy — dostaniesz monopol.

— Kiedym niezdarny do handlu!

— A kto ci każe handlować, roześmiał się Wicek Skrzach. Ale to pote m się wyjaśni. Trza zaczynać od początku.

Poszli tedy do budy, gdzie przybysz papiery obejrzał, skopjował, podanie napisał — i wreszcie rzekł:

— Może się uda i osadę wykręcić. Zobaczymy.

— Cudzą? Nie — to jużbym wołał handlować.

— Zobaczymy. Polegaj na koledze. Za parę miesięcy otrzymasz odpowiedź. A teraz bywaj zdrów, ja do miasteczka mam interes, a w nocy na pociąg!

Droźnik wrócił do swej roboty — i parę dni bywał roztargniony i niespokojny.

Potem zapadł z powrotem w swą bierną rezygnacją i mechaniczną czynność sumiennego pracownika. Nie wierzył i nie myślał o poprawie losu.

Było już po lecie i zaczynały okwitać ostyna wzgórkę po „Świątku,“ gdy otrzymał z poczty kartkę na list polecony.

Wstrząsnęło nim, bo nigdy listów nie otrzymał i poszedł do miasteczka.

Wręczając mu list, urzędnik rzekł z uśmiechem:

— Pan zna naszego inwalidę. Kolega?

— Tak! Ale on przecie nie tutejszy.

— Z jego imienia Chaim Grinberg sprzedaje w miasteczku wódkę. Może i pan gdzie monopol dostanie! Winszuję!

Droźnik nie nie rzekł. Uczyniło mu się jakoś nieswojo, chociaż z tonu urzędnika odczuł pewne uhonorowanie swej mizernej osoby.

Nie kwapił się z czytaniem listu, ale co rychlej wy dostał się na szosę i ruszył ku domowi. Puste, płaskie pola ogarnęły go lubością. Urodził się wśród nich i duszą wsiąkł. Straszne grozą, nędzą, głodem lata młodości — w wojnie i po wojnie — były jak zmora. Teraz była też nędza, głód i chłód — ale było cicho i pusto. Usiadł na skraju rowu i list otworzył. Wicek go wzywał — na gotowe. Dostanie monopol w Wileńskim, w mia-

steczku targowem, ludnem — miesięcznie pewne 300 złotych. Dzierżawca czeka z gotówką.

Opuścił ręce z listem na kolana i zadumał się. Skończona nędza, ciężka robota, samotno zimy w budzie. Trzysta złotych, toć już dobre utrzymanie, bez troski był, swoboda. Nie chciałby sam szynkarzem być, ale jeśli kto go wyręczy — zapłaci...

Wicek tak robi i inni — każdy chce żyć lekko, swobodnie. Mus kłoni do pracy i własna niezaradność. Praca — przekleństwo ludzkie. Pójdzie stąd, z tej ziemi, gdzie miał kiedyś gniazdo — a teraz jest przybłądą. Zresztą wszędzie będzie już tylko przybłądą, włóczęgą. Tylko pracować już nie będzie zmuszony. Może sobie iść, iść drogami — z groszem w kieszeni — bez celu — wolny!

Parę szczygłów krasnych zerwało się z krzaku i szczebiocząc prawie go trąciły w locie. Poszedł za nimi wzrokiem i zerwał się. Spadły na osty na wzgórku — i tam coś na niego patrzało. Szary kształt niewyraźnej, siedzącej postaci i niebieskie źrenice — jak woda, jak niebo — bezmiar, głęb. Poczuł je dyszeniem serca, pulsowaniem krwi, spazmem nerwów — bólem, zalem i wstrząsem dumy. Wszystkie żalości człowiecze odczuł i całą wielmożność. A wtem wzrok mu się zaćmił, zmętniał od łez, a gdy je przetaił — już tylko

krasne szczygły bujały na ostach, skowronki grały w błękicie i nikogo nie było na wzgórku.

Ale serce człowieka biło jak dzwon, i wyprostowany, jakby mu lat ubyło, a moc miał nigdy nie odczuta — list z ziemi podniósł i podarł na strzępy drobniutkie, które wiatr rozrzucił i zniszczył.

K O N I E C.

H17S



NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

W POZNANIU, UL. ZWIERZYŃIECKA 6

UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS NASTĘPUJĄCE
UTWORY MARJI RODZIEWICZÓWNY:

	zł.
ANIMA VILIS — POWIEŚĆ — WYD. CZWARTE. STRON 226	3.—
ATMA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE. STR. 220	3.—
BARBARA TRYŻNIAŃKA POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE. STRON 324	5.—
BARCIKOWSCY — POWIEŚĆ — WYD. TRZECIE. STRON 304	3.60
BŁĘKITNI — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
BYLI I BĘDĄ — POWIEŚĆ Z NIEDAWNEJ PRZE- SZŁOŚCI — WYDANIE CZWARTE — STRON 308	4.—
CZAHARY — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
CZARNY CHŁEB — NOWELE — WYCZERPANE.	
DEWAJTIS — POWIEŚĆ — WYDANIE JUBILEU- SZOWE z przedmową ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO STRON 358	6.80
HRYWDA — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE. STRON 260	4.—
JASKÓŁCZYM SZLAKIEM — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
JERYCHONKA — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
JOAN VIII. 1—12 — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE — STRON 236	3.—
KADZIEL — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
KLEJNOT — POWIEŚĆ — WYD. PIĄTE. STR. 306	4.—
KWIAT LOTOSU — POWIEŚĆ — WYDANIE SZÓSTE — STRON 308	4.50
MACIERZ — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
MAGNAT — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
MIEDZY USTAMI A BRZEGIEM PUHARU POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE. — STR. 282	4.—
NA FALI — POWIEŚĆ — WYD. TRZECIE. — STR. 224	3.—

	zł
NA WYŻYNACH — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE — STRON 292	4.—
NIEOSWOJONE PTAKI — POWIEŚĆ — WY- DANIE TRZECIE — STRON 274	4.20
ONA — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
POŻARY I ZGLISZCZA — POWIEŚĆ NA TŁE POWSTANIA STYCZNIOWEGO — WYDANIE DRUGIE — STRON 348	4.—
RAGNARÖK — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE. STRON 262	3.20
RUPIECIE — NOWELE — WYDANIE DRUGIE — STRON 244	4.50
STRASZNY DZIADUNIO — POWIEŚĆ — WY- DANIE PIĄTE — STRON 170	2.40
SZARY PROCH — POWIEŚĆ — WYD. PIĄTE. STRON 196	2.40
WRZOS — POWIEŚĆ — WYCZERPANE.	
Z GŁUSZY — NOWELE — WYDANIE TRZECIE. STRON 236	3.—

WYDAWNICTWO POLSKIE W POZNANIU

poleca nadto

ŚWIAT PODRÓŻY I PRZYGÓD

Cykl powieści awanturniczych — pod redakcją
Czesława Kędzierskiego:

- Tom I. R. L. STEVENSON: WYSPA SKARBÓW
Stron 360 zł 6.80
- „ II. MARK TWAIN: PRZYGODY TOMKA
SAVYERA — Stron 334 zł 6.80
- „ III. RAFAEL SABATINI: SOKÓŁ MORSKI
Stron 520 zł 8.80

SPIS RZECZY.

	Str.
Niedobitowski z granicznego bastjonu	1
Tydzień u Niedobitowskich	31
Niedobitowscy płacą	61
Sprawa jednorurki nr. 3080	85
Przekroczenie obowiązujących ustaw	95
„Obywatel“ Kuźma Suprunik	105
§ 4	117
Czterech małych Mystkowskich	127
Jutrznia	141
Świątek	159



